

P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 22 LUTEGO 1936 R. * NUMER 8 (125)

TREŚĆ: KAZIMIERZ ZAKRZEWSKI: Polska w krzywym zwierciadle * JAN KOTT: Martwa Ofelja * J. A. FRASIK: Pożegnanie siostry * JULIUSZ ZNANIECKI: Zmierzch * J. E. SKIWSKI: Poeta zdrowego rozsądku * WŁADYSŁAW STUDNICKI: Kręstwa wojska polskiego w Rosji * WINCENTY LUTOSŁAWSKI: Trzy rodzaje miłości * MARJAN HENZEL: Chiny nad Tamizą * WOJCIECH ZUKROW.



SKI: Ludzie przed nocą * ADAM WIEGNER: Jakiej psychologii potrzebuje humanista? * ZOFJA MIANOWSKA: Powieść * STEFAN BAŁEY: Film * J. PUCIATA-PAWŁOWSKA: Plastyka * H. RYLSKI i A. WALCZAK E. STRĄŻYSKI: Pedagogika * W. BĄK: Przegląd prasy * Wydawnictwa periodyczne * Książki nadesłane do Redakcji.

POLSKA W KRZYWYM ZWIERCIADLE

Pozytywizm. Stare to dzieje; to już nie „wczoraj”, ani nie „onegdaj” rzeczywistości polskiej. Dzieli nas od pozytywizmu już kilkadziesiąt lat, wiele prądów społecznych i umysłowych i szereg nawalniczych, które zmieniły oblicze Polaki. Dla porównania tego dystansu wystarczy stwierdzić, że jest on taki między pozytywizmem, a teraźniejszością, jaki był między dołą, poprzedzającą elekcję Stanisława Augusta, a czasami Królestwa „Kongresowego”.

Płynie naprzód niepowstrzymana rzeka czasu. Stoją w miejscu niektórzy ludzie, nie podlegają zmianom niektóre skrytalizowane świadomości. Przypominają człowieka z jakiejś fantastycznej powieści, przeniesionego nagle w przyszłość i walającego się po nowym, nieznanym mu społeczeństwie, wśród dziwnych i niezrozumiałych, nowych rzeczy.

Aleksander Świętochowski jest pisarzem sędziwym. Jest człowiekiem ubiegłej i odległej od nas doby, który nie rozumie naszego społeczeństwa i przemawia doń językiem niezrozumiałym. Tylko ta okoliczność może wyjaśnić dziwną, brzydkią książkę p. t. *Genealogja teraźniejszości* (Warszawa, „Rój”, 1936). Wyjaśnić i nawet usprawiedliwić. Gdyby tę książkę napisał ktoś z ludzi naszej rzeczywistości, nie oszczędzilibyśmy mu jak najsurowezej, jak najostrejszej oceny. Wobec twórczego wysiłku starca — jesteśmy rozbrojeni. Możemy tylko współczuć z tym wysiłkiem, tak całkowicie bezowocnym.

Pozytywizm i „szkoła krakowska” stanowiły owego czasu dwa bratnie objawy zwątpienia o skuteczności walki narodu o niepodległość po ciężkiej klęsce 1863 r. Zwątpienie to wyraziło się i w ostrej, bolesnej krytyce polityki romantycznej, wywołującej powstania, i w pesymistycznym — ponad wszelką miarę — spojrzeniu w przeszłość własnego narodu. Pesymistyczna ocena przeszłości jest potrzebna, stanowi ona niezbędne uzupełnienie ocen, idealizujących przeszłość. W krzyżowaniu się takich ocen — ale tylko popartem przez wyteżoną pracę badawczą, wyzyskującą naukowo cały, jak najszerszy materiał, mogący posłużyć do poznania i zrozumienia przeszłości, — powstaje obraz przeszłości najbardziej zbliżony do rzeczywistości.

Zdajemy sobie sprawę z niezmiernych błędów pokolenia, odpowiadającego za rozwój Polski, w drugiej połowie XVIII w., z demoralizacji, egoizmu, niewyrobienia politycznego i niemocy ówczesnych warstw kierowniczych, które rozbiły nawet państwowość polską. Ale w ocenie tego pokolenia chcemy i możemy posługiwać się tylko materiałem naukowo sprawdzonym, unikając generalizowania sądów, a przedewszystkiem zdając sobie sprawę z tego, że i w rzeczywistości polskiej XVIII w. nie brak ani pierwiastków twórczych, ani charakterów dodatnich i intelektów rozwiniętych. Na Stanisława Augusta inaczej patrzyli się ci pisarze i badacze polscy, którzy w nim widzieli tylko ostatniego króla; inaczej muszą go oceniać ci, którzy widzą w nim tylko jednego w łańcuchu Naczelników Państwa, zasiadających na Zamku warszawskim. I Świętochowski uznaje ciągłość w życiu narodu i państwa, ale widzi on tylko ciągłość elementów ujemnych. Taka teza również nie jest pozbawiona słuszności; w naszej dzisiejszej rzeczywistości nie brak oczywiście elementów, stanowiących dziedzictwo szlacheckie i a n a r c h i j i, cechującej rozwój dawnej Rzplitej, oraz r e a k c j i kulturalnej, której apogeuem stanowią czasy easkie. Ale Świętochowski nie tak stawia kwestję; boć stawiając ją w ten sposób, ude-

rzałby w swoich dzisiejszych przyjaciół politycznych. Zapuszcza się natomiast w bardzo zawile studia charakterologiczne, aby wysnuć z nich paradoksalną tezę, że zamiłowanie do „bezprawia”, które cechowało nasze społeczeństwo w wieku XVIII, przejawiało się dzisiaj (oczywiście poczynając od przewrotu majowego) w dążeniu do ustanowienia „silnego rządu”. Teza taka (której nie mógłby podzielić nasz m ł o d y nacjonalizm) może zainteresować chyba tylko kolekcjonera curiosów publicystycznych.

Współdziałanie pisarzy, nie będących zawodowymi historykami, z naukowymi badaczami przeszłości, jest bardzo pożądane; ci nierwi mogą wnieść bowiem do pracy nad uzyskaniem wiernego obrazu przeszłości całą tę ogromną dozę intuicji, jaka ich cechu-

je, a jakiej w tym stopniu nieraz nie posiadają ci drudzy. *Nurt* Wacława Berenta stanowi bardzo udaną i cenną próbę spojrzenia w przeszłość Polaki na przełomie XVIII i XIX w. Znakomity pisarz postawił sobie za zadanie rozpatrzyć, w jaki sposób fakt utraty niepodległości, a — jak wtedy się mówiło — „upadku narodu”, wyraził się t w ó r c z o w stanowisku przeżywającego ten fakt pokolenia. Pozytywny wynik tej próby zawdzięczamy ogromnej intuicji pisarza.

Aleksandrowi Świętochowskiemu tej intuicji brak; najlepszy dowód przynosi krótka ocena gen. Dąbrowskiego, któremu Berent poświęcił wspaniałe karty *Nurtu*. A Świętochowski? — „Bohater narodowy, przez niektórych historyków stawiany wyżej od Kościuszki, twórca Legionów pol-

skich, gen. Dąbrowski był tak naiwnym politykiem, że proponował królowi pruskiemu, ażeby ten łącznie z Francją przywrócił Polsce samodzielną” (*Genealogja teraźniejszości* str. 75 i n.). Tyle tylko ma Świętochowski do powiedzenia o Dąbrowskim — z dodatkiem: „nie on jeden ulegał temu naiwnemu złudzeniu”. Ale co tu dużo gadać, kiedy i Kościuszcę, któremu przyznaje „słoneczną duszę”, ma autor za złe, że Napoleon nazwał go głupcem; zresztą i Napoleon był tylko „bezmądrym rozbijaką państw”, niezdolnym do „krytyki swoich szaleństw” (*Genealogja teraźniejszości* str. 97). Świętochowski jest — był zresztą zawsze — najzupełniej pozbawiony intuicji historycznej i dlatego jego próba odnalezienia więzi między przeszłością a teraźniejszością musiała zupełnie zawieść.

Pozostałoby jeszcze tylko wspomnienie kilku charakterystycznych ustępów tej książki.

Więc najpierw stosunek pisarza do historii, jako nauki. Historia jest „utkana z prawd, domniemań, zmysłów i zwyczajnych kłamstw”, wszystkie narody mają „mniej lub więcej podrobioną historję”. Historia jest „raczej opowieścią naukową, niż nauką” (dowód: Artur Górski i Choloniewski!). Któż tak się patrzy na historję? Dzisiaj — nikt. Ale tego rodzaju poglądy były modne w początkach drugiej połowy XIX w., np. w sferach „pozytywizmu” francuskiego. Stąd to straszą one i w książce wydanej w r. 1936.

Drugi moment: opowiadając o występach i nadużyciach szlachty polskiej w XVIII w. Świętochowski wie, że tego rodzaju wyrodnienie warstw panujących spotykamy w niejednym społeczeństwie; przytacza różne fakty, czerpane zwłaszcza z lektury... Chłędowskiego. Tylko, że „podczas gdy monarchowie i generalowie... nurzali się w krwi i w błocie, masa społeczna pracowała i tworzyła kulturę...” (s. 175). Bardzo słusznie, chociaż pojęcie „masy społecznej” jest zbyt mgliste i przez to nienaukowe. Ale, zdaniem Świętochowskiego, ta masa społeczna była... „gdzieindziej”. W Polsce... poprosto nie istniała. To już jest oczywiste fałszowanie przeszłości.

Przekreślając czarną kreską cały dorobek Polaki z przed r. 1795, Świętochowski wpada w idealizowanie Polski niewolnej, którą cechuje „twórcza i życiodajna twórczość” (s. 209). Nie ma tu na myśli dążenia do odzyskania wolności, chociaż o jej zaprzepaszczeniu oskarża czasy Stanisława Augusta, lecz tylko dążenie do dobrobytu i kultury, c h o ć b y w niewoli. Co jak co, ale ten pogląd chorąży pozytywizmu, pisząc w r. 1935, mógłby poddać rewizji.

Cóż kiedy „Poseł prawdy” nie należy do „czcicieli państwa w dotychczasowej postaci”, nawet mimo, że wykazuje „niezdolność Polaków do stworzenia państwa” (czyż u licha, państwo, w którym żyjemy, stworzyli Beseler, Clemenceau i Trocki?). Państwo, t. j. „organizacja zbiorowiska ludzkiego, oparta na przymusie i gwałcie” etc., to tylko „konieczne i czasowe zło, które kiedyś musi zniknąć, kiedy zespoły ludzkie przestaną być gromadami dzikich lub tresowanych zwierząt”.

Ależ, wiemy, wiemy... Powiedzieli nam to Condorcet i Godwin w XVIII w.

Tylko, czy „bryła świata” istotnie stanęła w swym biegu w momencie, w którym młody Aleksander Świętochowski przejął się idealami burżuazyjnego liberalizmu i przeszczepiał je z publicystyki francuskiej do tej Polaki — „gdzie ostatnia świeciła szubienicą”?

KAZIMIERZ ZAKRZEWSKI

MARTWA OFELJA

*Na wodę niewód rzucono. Rybacy — widla daremne.
nie macie sieci tak gęstych, by w wodzie złowić nów!
Widzącą ścigać napróżno, otchłanie porusza ciemne,
ślepych i głuchych zalewa morzami śpiewnych snów.*

*Poco cucicie jej ciało? Ofelja nie tu umiera.
Martwi rybacy, patrzcie — w rękach tężeje wam w łód.
Żywiły wierne są żywe, w przepaść się niebo otwiera.
wydartą ze słabych ramion zatapia zwałem wód.*

*W syczącym dymie jalców gęstwa twych włosów szalonych
warkoczem z ogni oplotła i naznaczyła twarz.
Odtąd oślepy cię widzę — Ofeljo z głową Gorgony,
dotąd palący twój uścisk jak wieczne znamię trwa.*

*W niewód mnie wodzisz głęboki, już woda zalewa usta,
i tylko w uszach wciąż gra mi twój przejmujący śpiew.
Lecz wzrok gdy wzniosę bezbożny — przestrzeń wokół mnie pusta —
w rękach zastyga jak lawa martwe twe ciało w wiersz.*

JAN KOTT

POŻEGNANIE SIOSTRY

*Późną, późną godziną, plakali za oknami.
Gdy jęczał wiatr i deszcz ciął —
struchlały białe ręce, zaplotły łęk, który na nic,
plakał deszcz, taki drobny, plakał dom; —*

*a od domu godziną późną, kiedy olchy
poszły drogą samotną ku miastu w wieścią —
ogromny z chmur wyszedł miesiąc i szlochal
aż psy sobaczej doli zawyły dziko w lesie.*

*Świtem, gdy gasły świece i wróble tlukły się w okno
matka ogromny szloch ukryła w fartuch —
idąc do miasta z mlekiem baby zabiegły drogę bratu
— umarla? drogą jechali furmani i z bata strzelali mocno.*

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

ZMIERZCH

*Suchy wiatr szeleści o zmierzchu.
O jesienne prawie-wieczory,
Po murach domów przesuwam się zeschły
Niby-liść, niemal człowiek, — cieniory.*

*Między jedną a drugą godziną,
Między jednym a drugim szczęściem,
Poprzez zmierzchy i wiatry płynę
Niewidzialną wleczony pięścią.*

*I przewiewa mną, nosi po placach,
Wśród kamiennych pozostawia istnień.
Od poddmuchu do poddmuchu wracam
Sylwetką cienką, niby-liściem...*

*Wiotkiem ciałem gdy rosnę w ulicach
Oto błysły ostrza pierwszych gwiazd.
Oto spadła ze mnie tajemnica,
Niknie cieni wyrąbany las.*

*I zostaję sam na porębie —
Twardy człowiek, czarny pień dębowy.
Noc zaszumi w moich gałęziach
Zaświatową, gwiaździstą mową*

*I przekona mnie mową milczenia
O mem drzewnem, twardem
człowieczeństwie.
Nie uwierzę, że byłem cieniem
Między jednym a drugim szczęściem.*

JULIUSZ ZNANIECKI



K 1669/86/15



Ferdynand Goetel

Kiedy czytam Ferdynanda Goetla, oduję wrażenie, że znalazłem się w zasobnie, gustownie i solidnie urządzonej burżuazyjnym mieszkaniu. Znajduję tu komfort bez przepychu, wygodę, ujmuję mnie wdzięk artystyczny „umeblowania”.

Goetel zajmuje w literaturze naszej położenie naprawdę wyjątkowe. Ani przez dobór tematów, ani przez niezwykle splendor stylu i języka, ani przez nadzwyczajność pomysłów. To, co nas do niego pociąga, to wielki zmysł równowagi i absolutna harmonia między ambicjami i możliwościami. Goetel — marzyciel i Goetel — realizator, to jedna i ta sama osoba. Ambicje jego są zdrowe. Nie sięga po laury, które dla niego nie są stworzone. Nie rzuca się na eksperymenty, które nie leżą na jego „linji życia”. Ma swój świat — i w tym świecie żyje na prawach właściciela. W tem co pisze jest wielka europejska swoboda. I również europejskie zadowolenie z siebie. Ludzkie i sympatyczne. Wszystkie te cechy, razem wzięte, nie stanowiłyby oczywiście pisarza. Raczej złożyłyby się na portret „człowieka poczciwego”, na typ zdrowego, dzielnego współczesnego burżuja. Ale elektryzuje je niepospolity talent pisarski. I tak się szczęśliwie składa, że ten talent w najmniejszym stopniu nie dezorganizuje wewnętrznego świata pisarza — jest dopasowany do jego aspiracji w sam raz, jak ułan.

Ta europejskość Goetla — wolno przypuszczać — wiąże się z jego pochodzeniem. Jeśli dodamy, że „germańskość” naszego pisarza spokrewniła się najściślej z polskiem wyczuciem rzeczywistości, zrozumiemy gdzie tkwi sekret i niezwykłość tego okazu pięknej równowagi twórczej, którą reprezentuje u nas Ferdynand Goetel.

Czy Goetel jest tak zwanym „pisarzem popularnym”? — Wobec powyższej jego charakterystyki, pytanie to wydaje się usprawiedliwione. Bo w istocie, jego naturalne, nieprzymuszone utrzymywanie się zawsze na powierzchni zdrowego rozsądku w połączeniu z wybitnym talentem pisarskim, czyż nie stanowi właśnie istoty tego, co nazywamy „pisarzem popularnym”? Ale musimy się tu porozumieć co do samego terminu. Jeśli przez „pisarza popularnego” rozumiemy pisarza, który zaspakaja wyłącznie potrzeby publiczności tak zwanej „szerokiej”, z literaturą słabo otrząskanej, obcej jej głębszym akcentom i skomplikowanej treści — to w tym sensie Goetel popularnym pisarzem nie jest. Ale też niesłusznie zacieśniamy to pojęcie w ramki jakiejś literackiej dulszczyzny. Pisarzem „popularnym” w znaczeniu dobrym jest pisarz, którego utwory p r z e m a w i a j ą d o w s z y t k i c h. Pisarz z problematyką prostą, mającą naturalne związki z potocznym zdrowym rozsądkiem, a jednocześnie ożywioną czarem wysokiego artysty. Jeśli wyłączyć upartych snobów nowoczesności, dla których o wartości dzieła decydują bądź pochwały uznanych autorytetów zagranicznych, bądź dziwactwo formy, bądź zuchwałość eksperymentu — śmiało powiedzieć można, że każdy człowiek, któremu literatura potrzebna jest do życia, czyta Goetla z zadowoleniem.

Z zadowoleniem. Użyłem tego zwrotu rozmyślnie. Bo przyznajmy sami o jak niewielu (aby mówić ogólnie) kolegach Goetla można to powiedzieć. Goetel jeden bodaj nie wstydzi się pisać c i e k a w i e, oswadem, kultuwyje świadomie tę właściwość swojego talentu. Jego styl, obrazowanie, metafora, mają w sobie niezwykłą świeżość i przejrzystość. Słowo nigdy tu nie panuje nad treścią, nigdy jej nie przysłania, jest zawsze jej podporządkowane, ale podporządkowane logicznie, tak, że wspomaga treść i oświetla ją.

Rodzimy się w pewnym okresie dziejów, wzrastamy na glebie pewnej cywilizacji i wczesniej czy później musimy się świadomie ustosunkować do jej całości, postulatów, idealów. Z próby tej wyszedł Goetel bardzo porządnie. Nie wyrasta i nie chce wyrastać

POETA ZDROWEGO ROZSĄDKU

ponad swoją epokę. Mieści się w tym świecie pojęć, w którym żył od dziecka; awanturnicze wypadki w inne nieznanie dziedziny nie idą mu w smak i zachowuje wobec nich kamienny sceptycyzm. Ale czyż to wszystko świadczy, że Goetel jest konserwatystą współczesności, że rola jego sprowadza się do powtarzania tego co zastał, do biernego akceptowania całej naszej cywilizacji? — Nie, stanowczo nie. Taka bierna postawa nie ma nic wspólnego z temperamentem Goetla. Godzi się on na założenia współczesnego świata cywilizowanego, ale w obrębie tej afirmacji jest krytyczny i twórczy. Jest dobrym pracownikiem cywilizacji; dzielnie zagospodarował się na warsztacie, przy którym postawiła go epoka. Potrafi być jej wdzięcznym i pracowitym synem.

Każdy pisarz, jakkolwiek byłby zrównoważony wewnątrz, przechodzi przez okres buntu, rewizjonizmu. Nie minęło to nawet Sienkiewicza, który w *Bez dogmatu* stał się na chwilę i na swój sposób „dekadentem”. Podobną sprawę przeszedł Goetel, a książka, która o tem świadczy nosi tytuł *Z dnia na dzień*. Ale rewizjonizm Goetla jest szerszy od sienkiewiczowskiego i kończy się akordem pojednania. U Goetla nie była to próba jakiegoś literackiego życia nad stan, ale jakgdyby rewja wewnętrznego frontu, która zakończyła się przegrupowaniem w skali zdrowego rozsądku: „Niema człowieka bez Boga”. — Bóg to oceni — dopowiadamy sobie — i nie będzie od człowieka zbyt wiele wymagał.

Ale Goetel — to nietylko powieściopisarz. To również podróżopisarz. Jakże wiele czytelnik polski ma mu tu do zawdzięczenia! Jak *Z dnia na dzień* zostanie dokumentem rewizjonizmu moralnego Goetla, tak znowu jego *Podróż do Indji* jest próbą rozprawienia się z p o k u s ą w s c h o d n i ą. I tutaj Goetel nie dał się uwieść urokowi życia zbyt bujnego i zbyt niewspólniemiernego z ideałem cywilizacji europejskiej. Święty Ferdynand nie dał się skusić szatanowi pustyni i dżungli. Z opresji wyszedł cało. Może nigdzie tak wyraźnie jak w tej książce nie zaznaczył się ten zdrowy oportunizm, który charakteryzuje idee Goetla. Oportunizm, który kiedyś mocno zgنیwał autora niniejszego artykułu, czego też bynajmniej nie zataił w swojej recenzji. — Ale nie o tem będziemy tu mówić w dniu wyboru Goetla do Polskiej Akademii Literatury.

Sądząc, że będę wyraziłem ogółu litera-

tów polskich, jeśli powiem, że udział Goetla w Polskiej Akademii Literatury witamy wszyscy z najszerszym zadowoleniem. Nietylko dlatego, że świetnemu pisarzowi należało się to odznaczenie, ale i dlatego również, że znamy go jako naprawdę niezrównanego organizatora. Często myślałem o tem, że trzebaby w Polsce ustanowić godność prezesa przesów (negus negesti) i że właśnie tę godność można i trzeba powierzyć Ferdynandowi Goetlowi. Słowo p r e z e s m a u n a s (i nietylko u nas) opinię słusznie podszarganą. Jest synonimem safandulestwa, rutyny, tchórzliwego oportunizmu i nadętej dostojności. Goetel, śmiały i syntetyczny, siadał przy stole prezesa jak wirtuoz przy klawiaturze. Poznajemy mistrza z paru akordów. Co za prostota środków, co za bajeczna skuteczność i celowość każdego posunięcia! Połączenie przenikliwej intuicji, męskiego racjonalizmu i sugestyjności postawy, a wszystko podsyte duchem zdrowego praktycyzmu.

Trudno tu nie wspomnieć o dużej zasłudze Goetla właśnie na terenie organizacyjnym, a ściślej na terenie Związku Zawodowego Literatów Polskich. Jemu to zawdzięczamy, że zwyciężając „w cuglach” opozycję, już w pierwszym biegu przeforsował projekt Agencji Literackiej, co więcej, zdobył środki materialne na jej uruchomienie. Jest to ważna data w rozwoju naszego życia literackiego. Bo dzięki inicjatywie Goetla dopominamy się dzisiaj nie o p o d t r z y m a n i e n a s z e j e g z y s t e n c j i, a l e o ś r o d k i na uruchomienie nowego i twórczego pomysłu. Bo Agencja Literacka, zaprojektowana przez Goetla, to dawno oczekiwana próba kontroli ściśle artystycznej i rzeczowej ruchu wydawniczego, to tama przeciw panoszącej się tandecie przekładowej, to wreszcie umożliwienie pracy młodym początkującym literatom, dla których zarówno rynek wydawniczy jak i prasa, opanowane przez snobizm głośnych nazwisk, są zamknięte. Agencja Literacka stanie się pośrednikiem pomiędzy pisarzem a wydawcą i redaktorem, stanie się czynnikiem okiełznania chaosu wydawniczego, jeśli chodzi o rynek zewnętrzny, i chaosu artystycznego, jeśli chodzi o poziom naszej produkcji literackiej. Nie ucinając żywych pędów literatury nożycami doktryny, będzie się starała zaprowadzić w tej dziedzinie ład, poddyktowany zdrowym rozsądkiem, który cechuje w równej mierze Goetla-pisarza i Goetla-organizatora.

J. E. SKIŃSKI

KWESTJA WOJSKA POLSKIEGO W ROSJI*

Pod tym tytułem ukazała się niedawno książka, zawierająca zbiór materiałów w sprawie wojska polskiego w Rosji w 1917 r. Sprawa wojska polskiego w Rosji w owym czasie wstąpiła w nową fazę.

Na początku wojny, 17 września, poseł Wiktor Jaroński i jeden z przywódców nar. dem. Zygmunt Baliński w imieniu posłów polskich w rosyjskiej dumie wręczyli na ręce głównego szefa sztabu w Baranowiczach, gen. Jarnuszkiewicza, dla złożenia naczelnemu wodzowi projekt sformułowania Legji polskiej. Była to odpowiedź na wkroczenie Strzelców do Królestwa pod przewodem Piłsudskiego i formowanie Legionów do walki z Rosją. Zachodziła głęboka różnica między dwiema mającymi powstać formacjami po obu stronach kordonu.

Strzelec i drużyny strzeleckie składały się z młodzieży ideowej, przenikniętej pragnieniem walki o niepodległość Polski; idea tej walki żyła w ciągu ostatnich paru lat, do niej się przygotowywali. Zamierzana w ciągu kilku lat akcja, rozpoczynająca się na początku wojny, odpowiadała najlepszym politycznym tradycjom Polski z doby porzobiorowej. Legjony Dąbrowskiego, pochód na Moskwę w 1812 r., powstanie 1831 i 63 r. — oto wypadki dziejowe, których wspomnienie było siłą motorową do zamierzonej akcji. Parł do niej realizm polityczny, rozumienie, że wobec tego, że Rosja dzierży 3/4 terytorjum dawnego państwa Polskiego i kadłub ziem polskich — Królestwo Kongresowe, Polskie Państwo może być odbudowane tylko przez zdruzgotanie potęgi rosyjskiej, odcięcie od niej znacznej części zaboru rosyjskiego. Rozumiano, że w razie nabytków Austrii na Rosji, Galicja będzie musiała przeobrazić się z prowincji autonomicznej na państwo, związane unją realną z Austrią i Węgrami. W perspektywie zarysowywały się

* *Kwestja wojska polskiego w Rosji w 1917 r.* Opracował WACŁAW SZCZESNY przy udziale Komitetu Redakcyjnego w osobach: Mieczysław Bilek, Kazimierz Kosiński, Władysław Solek i Stanisław Turczynowicz. Warszawa 1935. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa.

r. i do 9 grudnia tegoż roku wytworzył legjon polski, liczący 350 piechurów. Rzecz charakterystyczna: nie znanym przedstawicielom społeczeństwa polskiego, lecz Gorczyńskiemu, który nie był ani wojskowym, ani znanym społecznym działaczem, udzielono koncesji na formowanie drużyn ochotniczych polskich. Wywołało to przypuszczenie, które dotąd nie zostało sprawdzone, że pan Gorczyński był mężem zaufania policji rosyjskiej.

Przyłączenie się do tej akcji gen. piechoty Edmunda Swidzińskiego, gen. por. Lubomira Stępowskiego, gen. por. Piotra Szymonowskiego, jednym słowem trzech dymisjonowanych carskich generałów, oraz redaktora Antoniego Sadzewicza, jednego z przywódców Ligi Narodowej, Zygmunta Balińskiego, oraz mającego stosunki wśród arystokracji polskiej hr. Broel-Platera, nie przyczyniło się jednakże do znacniejszego wzrostu tych formacji. Stały przeciwko nim tradycje polityczne Polski, wieści nadchodzące do Królestwa o Legionach, walczących z Rosją, przytem nieufność do tej akcji ze strony rządu rosyjskiego. Nawet te szczupłe koncesje, jakie były udzielone przez sztab wojenny rosyjski, wywołały sprzeciw ze strony rządu. Władze cywilne przekładały Mikołajowi II, że uzbrajanie „miałezników” może być niebezpieczne dla państwa. Wydano rozporządzenie o nieprzyjmowaniu do tej formacji poborowych i rezerwistów, nie przydzielano do nich wielu zgłaszających się oficerów Polaków, przemianowano polskie formacje z legionów w drużyny ochotnicze pololitego ruszenia.

Nastąpiły nowe warunki dla polskich formacji w 1917 r. po rewolucji marcowej. Ogólna sytuacja polityczna uległa zasadniczej zmianie; stosunki stały się bardziej skomplikowane, kwestja formacji polskich przybrała charakter dramatyczny. Materiał do tego dramatu dziejowego znajdujemy w powyższej wspomnianej książce.

Rewolucja rosyjska przez obalenie caratu, oraz przez odezwę Rządu Tymczasowego, uznająca niepodległość Polski, wzbudziła sympatję wśród społeczeństwa polskiego. Od rewolucji jednak marcowej rozpoczyna się rozkład Rosji, jej armji i anarchja oraz dążności bolszewickie, które zatriumfowały w rewolucji październikowej. Rozkład armji rosyjskiej przejawiał się w tem, że żołnierze Rosjanie porzucali front i szli do domów, aby „dzielić mienie”, żołnierze Polacy, odcięci od strony ojczyzny frontem niemiecko-austriackim, żywiłowo ekupiali się, dając podłoże do utworzenia formacji polskich. Oficerowie Polacy, zwłaszcza zawodowi, doświadczeni niebezpieczeństwą wespół z oficerami rosyjskimi ze strony rewolucjonizowanych, rozagitowanych przeciwko władzom wojskowym żołnierzy rosyjskich. Stąd byli zwolennikami wytworzenia polskich formacji. Nar. dem. oraz inne ugrupowania orientacji rosyjskiej uznawały, że przyszedł moment odpowiedni dla tworzenia armji polskiej, walczącej z państwami centralnymi, lecz tworzące się wojsko polskie, biorące udział w walce z państwami centralnymi, szłoby na podbój Galicji dla Rosji, na podbój Królestwa, w którym tworzyły się organy Państwa Polskiego, które zostało proklamowane 5 listopada 1916 r., jako państwo niepodległe. Zrozumiała więc była niechęć do budowy polskiej armji w Rosji, pomimo tego, że był pęd żywiłowy ze strony wojskowych polskich do skupienia się w odrębne polskie formacje.

W książce *Kwestja wojska polskiego w Rosji w 1917 r.* znajdujemy charakterystyczne przemówienie, zarysowujące stanowisko w tej kwestji poszczególnych grup i poszczególnych odcieni politycznych, np. poseł do dumy państwowej Harusewicz na posiedzeniu Związku wojskowych Polaków w Petersburgu w kwietniu 1917 r. mówił w imieniu Komitetu Narodowego, że Komitet ów pragnie szeregować tych Polaków, którzy sobie życzą być w szeregach armji polskiej z zachowaniem tego koniecznego warunku, aby armja rosyjska nie była narazona na szwank, ponieważ mamy jednego wspólnego wroga, z którym walczymy. Całkiem przeciwne stanowisko zajął Siwik: „Jestem przedstawicielem tej partji, która stworzyła w kraju Legiony, która bierze dziś udział w tworzeniu i budowaniu Państwa Polskiego, a zarazem w tworzeniu armji polskiej... Z tamtej strony kordonu tworzy się Państwo Polskie, my zaś tutaj na emigracji jesteśmy tylko garstką, znikomą cząstką narodu, tam jest olbrzymia większość, tam przedewszystkiem ginęły najlepsze zastępy młodzieży, tam były Legiony, tam tworzy się armja, a nam występować w tej chwili dziś, w jakiegokolwiek intencji nie wolno. Jestem socjalistą i bezwarunkowo boleję w głębi duszy, że z tej strony demokracja idzie i głosi szerokie wolnościowe idee, a z tamtej strony jest Prusak, który nie zapewnia nam bezwzględnej wolności ani zjednoczenia. Jednak uważam, że jestem obywatelem wolnej, zjednoczonej Polski, która tam ma Rząd Tymczasowy i mnie nie wolno poczynać nic na własną rękę, żebym był najwięcej przekonany, że tym sposobem zhawię moją ojczyznę”.

W tym samym duchu przemawiał Mateuszewski: „Ci, co prowadzą do utworzenia polsko-rosyjskiej armii pod komendą rosyjską przeciwko Polsce, chociażby przeciwko reakcyjnej i konserwatywnej, ale zawsze Polsce, robią nietylko błąd, ale straszny polityczny grzech”.

Od 5 do 10 maja 1917 r. odbyła się konferencja w Sztokholmie, w której wzięli udział: dyrektor departamentu politycznego Rady Stany Wojciech Rostworowski i dyrektor departamentu pracy Włodzimierz Kunowski. Z Petersburga przybyli jako przedstawiciele Komitetu Demokratycznego i Zrzeszenia Niepodległościowego Franciszek Skąpski, Bronisław Siwik, Hipolit Gliwiec, Piotr Filipkowski, gen. Babiański i Józef Zabicki.

Skąpski został wezwany do Sztokholmu przez emisariusza komendanta, Włodzimierza Kunowskiego, który wydał rozkaz, aby P. O. W. przeciwdziałała tworzeniu armii.

28 maja, na zjeździe wojskowych Polaków, Franciszek Skąpski składał relacje o położeniu kraju. Mówił przedewszystkiem o Radzie Stanu, jej pracach, jej znaczeniu i autorytecie w kraju, o sprawie wojskowej w kraju i o stosunkach z okupantami. Referent podkreślał, iż Rada Stanu prowadzi w nader trudnych warunkach owocną pracę państwowo-twórczą. Rada Stanu zabiega usilnie i wbrew życzeniom okupantów niemieckich(?) o stworzenie wojskowości polskiej w kraju, jako atrybutu państwowości. Wysuwając jedynie możliwy postulat dla polityki Polski — neutralności na obu frontach, Rada Stanu stanowczo wypowiada się przeciwko tworzeniu osobnych formacji poza krajem, gdyż nie mogłyby one, pomimo chęci organizatorów być w rozporządzeniu społeczeństwa polskiego i jego władzy.

Referat p. Skąpskiego był oparty na informacjach, udzielonych przez p. Rostworowskiego i Kunowskiego, zdaniem moim, niezwykle wiernie odzwierciedlających sytuację w kraju. Koncepcja neutralnej armii była koncepcją hr. Rostworowskiego, Rada Stanu w tej kwestii przejawiała chwiejność. Pamiętam, że jednego wieczoru uchwalila rezolucję o neutralności, którą nazajutrz wskutek wznowionej dyskusji cofnęła. Rada Stanu była w rzeczy samej ośrodkiem krystalizacyjnym powstającego państwa, lecz ośrodkiem słabym, nie stojącym na poziomie zadań owej chwili i z natury rzeczy musiała wzbrudzić więcej autorytetu, za kordonem, niż w pobliżu, w kraju.

Tułała się opinia, że można było wytworzyć w Rosji siedemsettyśmienną armję polską. Przyczem armję bojową, któraby była zdolna stawiać czoło armii niemieckiej. Pogląd ten poddał niweczącej krytyce na zjeździe polskich wojskowych w maju i czerwcu 1917 r. kpt. Malyszko. Wykazywał on, że Polaków, zdolnych do walki w armii rosyjskiej co najwyżej było 600.000. Na jednego żołnierza na linii bojowej — piechura z karabinem, artylerzystę przy armacie lub sapera z rydzelkiem — wypada dwóch żołnierzy na tyłach — partji artyleryjskiej, taborów, transporty i oddziały sanitarne. Stąd wypada, że do okopów można posłać tylko 200.000 żołnierzy. Żehy zwyciężyć Niemców, trzeba być lepiej uzbrojonymi od nich, żeby móc walczyć z nimi i mieć nadzieję na wygranie, trzeba być uzbrojonymi tak jak oni. Mówca zwraca uwagę na słabe uzbrojenie dywizji polskich, wykazuje, że nie można rachować na pomoc koalicji. Wszak armat, pocisków, kulomiotów, karabinów nie można przywieźć na samolotach. Gdyby koalicja chciała nawet bardzo gorąco, to bez wiedzy i zgody Rosji nie nam pomóc i uczynić dla nas nie może, bo z jednej strony jesteśmy oddzieleni od niej lasem bagietów, a z drugiej strony otoczeni olbrzymim terytorjum państwa rosyjskiego. Mówca zwraca uwagę na zawalenie Archangielska, co często wywoływało na froncie brak żywności i materiału bojowego i niemożliwość wyzyskania przez nas Władystoku.

Jakkolwiek zaraza bolszewicka w daleko mniejszym stopniu dotknęła żołnierzy Polaków niż Rosjan, jednak propaganda bolszewicka zrobiła postępy w niektórych oddziałach polskich. Zbolszewiczała armja polska zniweczyłaby powstające Państwo Polskie, przeobraziwszy je w jedną z sowieckich republik. Szczęściem dla nas pierwiastek zbolszewiczały nie lgnął w znaczniejszej ilości do powstających formacji polskich. Logika wypadków narzucała walkę z czerwoną armją. Brak armji w kraju i owoczesny stan stosunków polsko-niemieckich nie dawał formacjom polskim zakordonowanym należytego oparcia. Ich rozwiązanie stawało się koniecznością; tylko dzięki talentowi gen. Żeligowskiego, jego formacje w bojomym ryzystunku znalazły się w Polsce. Z innych formacji otrzymaliśmy pewną ilość oficerów i żołnierzy, którzy zaasilili armję polską w 1919 r.

Materiał, zebrany w książce *Kwestja wojska polskiego w Rosji w 1917 r.* urzyszta tamnia szmatotanie się ówczesnej myśli politycznej polskiej, szukającej drogi wyjścia w skomplikowanych i trudnych warunkach.

WŁADYSŁAW STUDNICKI

TRZY RODZAJE MIŁOŚCI

Wyszły niedawno trzy angielskie powieści, prawie wyłącznie poświęcone zagadnieniu miłości mężczyzny do kobiety i opisujące trzy rodzaje tej miłości na trzech szczeblach duchowego rozwoju.

1

Najpospolitszy gatunek tego uczucia przedstawia W. F. Casey, dotąd znany głównie jako publicysta, piszący interesujące korespondencje z Waszyngtonu, Paryża i Genewy. Napisał on *Private life of a successful man*, J. M. Dent and Sons, 1935).

Jego bohater, Margrove, prowadzi rozległe interesy, robi duży majątek, i usiłuje być we wszystkim podobnym do Napoleona. Kocha bardzo swoją żonę, niepokoi się, gdy ona się spóźnia na obiad, ale zajęty bardzo swoimi interesami, nigdy o niej nie myśli prócz tych nielicznych chwil, gdy są razem, a wtedy ich obcowanie polega na dosyć gwałtownych ze strony męża objawach namiętności, na które żona, Adela, reaguje z nieukrywaniem wstrętem.

Ona prowadzi życie towarzyskie, stroi się, bywa na zebrańkach i zabawach przeważnie sama, i przyjmuje gości prawie bez udziału męża. To też nie dziwne, że spotyka kogoś, kto jej się więcej podoba i skuteczniej zabiega o jej względy. Z tym kochankiem Adela ucieka. Margrove daje nowy dowód swej miłości, ułatwiając jej rozwód, i żeni się ze swoją sekretarką, która oddawna w cichości go uwielbiała.

Tutaj przynajmniej poza wzajemnym upodobaniem jest ogromny zakres wspólnych zainteresowań, gdyż Elżbieta była nietylko bierną pomocniczką szefa, lecz uczestniczką w jego śmiałych projektach. Zdolała podobać się bardzo wymagającej matce Tomasza i spełniła jego najgorętsze pragnienie, któremu Adela zadośćuczynić nie umiała, mianowicie dała mu dziecko.

Między pierwszą a drugą żoną miał Tomasz bardzo kosztowną kochankę, Sybillę, która go pozyskała pochlebstwem i wkrótce mu się uprzykrzyła. Jej liczne zachcianki i pretensje jednak dokonały w nim pewnej ewolucji uczuć w stosunku do kobiety — zmusiły go do częstszej myśli o kochance, niż był przywykł w stosunku do Adeli. W ten sposób został przygotowany do wdzięcznej oceny niewymagającej niczego dla siebie Elżbiety, i doznał nareszcie pełnego szczęścia miłosnego w zgodnym małżeństwie z kobietą, umiejącą ocenić jego istotne zawodowe zalety. To też Elżbieta wkrótce zajęła takie miejsce w jego życiu, jakiego ani Adela, ani Sybilla nie miały.

Autor daje wierny obraz stopniowego rozwoju bardzo pierwotnych uczuć u człowieka jednostronnie zdolnego do interesów, ale nie mającego poza tem początkowo prawie żadnych zainteresowań. Jego najświeższe uczucia dotąd miały charakter rodzinny. Kochał i czcił swoją matkę, podziwiał i kochał swego lekkomyślnego brata, namiętnie pragnął dziecka.

Lecz z początku nie umiał ocenić wartości kobiety, bo dosyć lekkomyślnie poślubił Adelę dla jej urody, nie mając nic z nią wspólnego, nawet wzajemnego pożądania, ani żadnych wspólnych upodobań.

Dopiero Elżbieta nauczyła gwałtownego i wybuchowego swego męża, znając wszystkie jego myśli i plany, dzieląc jego upodobania, odczuwać taką miłość, na jaką jego stać było. Miłość ta już nie była wybuchową namiętnością perjoacyjną, jak względem Adeli, lecz spokojnym współzyciem przy wspólnych upodobaniach i celach, wśród których wkrótce dominujące miejsce zajął wspólny ich potomek, mający dalek prowadzić przedsiębiorstwa ojca.

Autor nadzwyczaj trafnie przedstawia ten rozwój uczuć od zwierzęcej, wybuchowej namiętności do miłości kobiety współpracowniczej i matki, rozmówianej w męzu i pomagającej mu pod wszelkim względem. Elżbieta całą treść swego duchowego życia brała od Tomasza, którego nietylko kochała, lecz uwielbiała za jego energję i przedsiębiorczość. On to uwielbienie chłonał z rozkoszą jako najsilniejszą pobudkę do pracy, której celem było udogodnienie życia klientom firmy, a rezultatem ubocznym rosnący własny majątek.

Podczas gdy wobec Adeli pozwalał sobie na czasowe niewierności, wobec Elżbiety był bezwzględnie wiernym i jej obecność życie jego wypełniała nawet wśród trosk zawodowych.

Z wielkiej wdzięczności za syna, którego mu dała Elżbieta, Tomasz na cześć swojej żony złożył ogromny dom położniczy dla stu matek, i nazwał go „Domem Elżbiety”.

Autor udawadnia nam jasno związek szczęścia osobistego Tomasza z jego rozumem społecznym, i charakter twórczy takiej miłości, która wyklucza nadmierne uniesienia, lecz staje się osiłą pozytywną działalnością. Dzieło to objawia zarazem całą bezduszną i obrotową działalność, do-

póki na swej drodze nie spotkają kobiety, której uznanie i uwielbienie staje się najsilniejszą pobudką do skutecznych wysiłków.

2

Zupełnie inny rodzaj miłości kobiety przedstawia nam Michał Goring w niedawno wydanej powieści *Namiętność Mateusza* (*Matthew's passion*, William Heinemann, 1935).

Goring jest to bohater poprzedniej powieści autora, którą wydała również firma Heinemann rok temu, pod dziwnym tytułem *Its silly face* (*Jego głupia twarz*) (t. zn. *Świata, ludzkości*).

Autor jest emigrantem z Rosji i nazywa się Mikołaj Gubsky. W poprzedniej powieści opisał własne swe trudne życie w obcym kraju, i skończył opowiadanie samobójstwem bohatera, Goringa. Teraz znów opisuje epizod z własnego życia, dając już tylko w nawiasie swoje własne nazwisko.

W obu powieściach występuje ten sam typ, którego tożsamość wydatnia także stosunek jego do nadzwyczaj szlachetnej, ofiarnej i ustawicznie przez niego krzywdzonej żony.

Ta żona nazywa się Zeena w pierwszej powieści, a Sheila w ostatniej, lecz te imiona odpowiadają prawdopodobnie jednej i tej samej osobie, a przy wyraźnej autobiograficznym charakterze obu powieści nasuwa się przypuszczenie, że taką idealną poświęcającą się żonę ma sam autor, i że publicznie się ze swych grzechów wobec niej opowiada, co nie stanowi żadnego zadośćuczynienia.

Mateusz Lermont tutaj występuje już nie jako Rosjanin, tylko jako Anglik, lecz dusza jego pozostaje nawskroś rosyjską, i uczucia, które opisuje, wyraźnie zdradzają Rosjanina, przez zupełny brak opanowania i prostolinijną krańcowość. Powieść nowa pod względem literackim jest znacznie doskonalsza, niż poprzednia, choć obie przedstawiają ten sam typ: lekkomyślnego i niezadowolonego z życia pisarza, żyjącego w nędzy z idealną i poświęcającą się żoną, ustawicznie krzywdzoną przez zhyt wyłącznie zajętego swoją własną osobą męża.

W pierwszej powieści ten ścigany niepowodzeniem bohater konsekwentnie skończył samobójstwem, i pozostawił żonę pod opieką rozkochanego w niej lokatora. W drugiej powieści zmartywował pod nazwiskiem Lermonta, Szkota, wychowanego we Francji i w Niemczech, pozostając zupełnie tym samym nieopanowanym nastrojowcem, a autor przyjął jako pseudonim nazwisko bohatera poprzedniej powieści, podkreślając przez to jej autobiograficzny charakter.

Mamy tutaj dokładnie opisane kilka miesięcy życia tego człowieka, w ciągu których budzi się w nim nieszczęca namiętność do bezdusznej kobiety, która niły mu jest wazjemna, ale tak go dręczy swą obojętnością, że w końcu, w związku z ciężką chorobą żony, Mateusz wyzwała się i całą duszą do żony powraca.

Charakter tej miłości ukazuje nam się odrazu w pełni przez oryginalny sposób, w jaki wazjemnie sobie kochankowie wazynają swe uczucie (str. 48). Są oni gośćmi na wsi u znajomych. Mateusz i Miriam siedzą na ganku, i oto ich rozmowa po trzech dniach dosyć powierzchownej znajomości:

Noc się zbliżała aksamitnymi krokami, i każdy krok przybliżał to, co musiało nastąpić.
— Pan dziś prawie nic nie mówił, — rzekła Miriam tonem niepewnym — czy stało się coś złego?

— Nie, nic, czemu pani tak myśli?

Ona nie odpowiedziała, a on odpowiedzi nie oczekiwał, bo jego pytanie nie miało sensu. Zapalił papierosa, ale nie ciągnął dymu, więc wkrótce papieros zgasł, a on go odrzucił.

— Będzie jutro piękna pogoda, — rzekła głosem, w którym się odbijało natężenie nagromadzone w bezgłośnie mroku.

— Tak, ale barometr jednak spada.
Wciążnął głębooko powietrze, odprężył mięśnie, ręce zsunęły się z kolan. Wówczas przemówił powoli, bez nacisku, w krótkich, urwanych zdaniach, jakby każdy wyraz wymagał wysiłku:

— Wczoraj nie rozumiałem, co to było. Nawet dzisiaj rano nie wiedziałem. Teraz wiem. Z początku myślałem, że to było działanie słońca i miejsca i wszystkiego razem. Ale to nie to. Teraz widzę, że wszystko — zrobił rękami ruch dośrodkowy — skupiło się na jednym punkcie. Otóż to jest wszystko. Może pani zrobić z tem co zechce — dodał po krótkiej przerwie. Powietrze było zupełnie spokojne. Daleko na szosie zabrznięła dwa razy trąbka automobilu, i znów zapanowało milczenie i chłodna woń róż. Żadna z dwojga postaci na ganku się nie poruszyła.

— Ja to wiedziałam, — rzekła szepem, tym głosem bez wyrazu, którym ludzie mówią we śnie. — Ja wiedziałam o tem przedtem.

— Jakto? dziś rano, czy wczoraj?

— Nie, od naszego pierwszego spotkania. Obrócił się do niej. Mógł tylko widzieć jej sylwetkę i zarys jej twarzy, ale nie mógł dostrzec jej wyrazu.

— Czy pani mówi o swej pierwszej wizycie u nas w czerwcu, gdy pani przybyła ze swym bratem?

Tym samym sennym głosem powtórzyła:

— Tak, wtedy.

— Ależ to jest niemożliwe, — wykrzyknął,

żywo przypominając sobie pierwsze spotkanie i wrażenie bezbarwne, jakie ona wówczas na nim wywarła.

— Pani nie mogła wówczas tego wiedzieć.

— Tak, wiedziałam, bo wówczas wiedziałam o sobie, a wiem, że ja nigdy nie byłam pierwszą, ja mogę tylko odwzajemniać, więc... — Nie skończyła zdania.

— Jakże to dziwne! — Był zanadto zdumiony przez to co ona powiedziała, by sobie uprzytomnić pełne znaczenie jej słów. — Szczególniej, że ja wówczas myślałem, że pani jest nudna i bezduszna.

— Ja to także wiedziałam! — Dosłyszał uśmiech w jej głosie. Nastąpiła pauza.

— Ja tego nie chciałem, ja doprawdy nie chciałem. Ja dotąd nie rozumiem, jak to się zdarzyło. Czy pani mi wierzy?

— Wierzę, ale do tegośmy doszli.

— Doszli my.

Dopiero teraz ze wstrząsem uprzytomnił sobie, co to znaczyło, że ona może tylko odwzajemniać.

W taki powściągliwy sposób wazynają sobie miłość, i Mateusz pozostaje oniesienionym. Długo całował tylko jej ręce, nim się domyślił, że może całować oczy i usta, potem znów na tym szczeblu poufalości się zatrzymał, choć po powrocie do miasta Miriam zaczęła przychodzić do pustego mieszkania jednego znajomego artysty, gdzie spotykała Mateusza. Nawet gdy będąc w tem mieszkaniu sama z nim, roznamiętniona pieszcotami, w ręcz mu się ofiarowała, on nie śmiał postąpić dalej, gdyż zewnętrzne okoliczności nie wydawały mu się stosowne.

To też zmiechnęcona kokietka już mu nie dała nowej sposobności do spotkania sam na sam, i wyjechała do Francji na kilka tygodni. Po powrocie nieprędko się odezwała i wazynaczyła mu nareszcie spotkanie w klubie. Wszczęła rozmowę o rzeczach obojętnych, bez żadnej aluzji do ich miłości... Gdy on jej to wypominał, ona się chępliwie innymi przyjaźniłymi, którzy jej uczucia cenią, i zarzucała mu gwałtowność i nietolerancję. Wszak ona musiała uwzględnić różne rzeczy, których doniosłości on nie uznawał. Ktoś przerwał rozmowę, Mateusz uciekł z klubu i wrócił do domu, gdzie zastał żonę ciężko chorą. Trzeba było ją odwieźć do szpitala, dziecko umieścić u znajomych i w świetle tych istotnych cierpień Mateusz się wyzwolił z urojonych swych trosk.

Nagle ujrzał Miriam taką, jaką była, samolubną, bezduszną hipokrytką — i wytłomaczył sobie czasowy swój obłąd, którego celem i skutkiem miało być jedynie głębsze poznanie natury ludzkiej.

Miłość Mateusza niezczyła jego życie rodzinne, groziła życiu jego żony i córki, uniemożliwiała twórczość i nie dała mu ani chwili zupełnego zadowolenia. Polegała ona na gwałtownej potrzebie obecności pewnej kobiety, o której prawie nic nie wiedział. Nie miała ona żadnego udziału w jego pracy, nie była w stanie rozumieć jego myśli, nie dawała się przez tę miłość wytrącić z równowagi.

Mogłaby zostać pospolitą jego kochanką, dopóki by się jej nie uprzykrzył, ale nie mogła niczego dla niego poświęcić, ani swego rodzinnego ani towarzyskiego stanowiska. Dla niej ta miłość była zabawną grą bez konsekwencji, z uwzględnieniem innych stosunków. Jego zaś ogarnęła wyłącznie, w sposób wykluczający inne stosunki.

Autor dał wierny obraz takiej wazzechogarniającej, lecz nie twórczej miłości, czyli opętania lub obsesji.

Powrót Mateusza do żony bez zastrzeżeń, ze świadomością, że ją więcej kocha niż kiedykolwiek, dowodzi, że jego miłość dla Miriam była tylko chorobliwym wykojeniem, osohlwem doświadczeniem, służącym dla napisania oryginalnej powieści.

Może nareszcie w następnej książce autor wyjdzie z siebie i spojrz na świat mniej subiektywnie, a w nim dostrzeże inne tematy sztuki, niż samego siebie. Ale poznajemy go z tych dwóch powieści jakby z najszczęśliwej autobiografji. Widzimy jego dążenie do poznania rzeczywistości, do zrozumienia życia swego własnego i ogólnego, a subtelność jego umysłu każe mieć nadzieję, że cel swój osiągnie, krańcowo subiektywnym pokona, i da nam obrazy życia, wraz z wytłomaczeniem głębszego ich znaczenia.

Autor często pomawia Anglików o bezduszną — a nuż w nich odkryje duszę i zrozumie, co im dało panowanie nad światem? Wtedy umiluje w nich to, co go dotąd raziło, spokojną równowagę i konsekwentne działanie, wiodące do celu. Opętania tego rodzaju co miłość Mateusza do Miriam od istotnych celów życia odwodzą, a usilowane przez autora wytłomaczenie ich rozdzieleniem osobistości, usuwa pierwiastek odpowiedzialności. Mateusz w każdej chwili miał dwie drogi przed sobą: albo gwałtowniejsze naleganie i zdobycie zupełnej powolnej i bierniej kochanki, któraby mu się rychło uprzykrzyła, albo ucieczka od niesamowitej kobiety. Przez nieśmiałość i niezdobycie był biernym w sytuacji wymagającej stanowczej aktywności, i tylko przez zbieg okoliczności uniknął ostatecznego rozbitcia. Cel doświadczenia dla powieściopisarza został osiągnięty, bo daje zwarty i konsekwentny obraz takiego niesamowite-

go przejścia, które może nawet służyć jako pouczające ostrzeżenie.

Na tle tego przejścia przedstawia nam autor jeszcze dwie bardzo ciekawe postacie, które się do wyzwolenia Mateusza przyczyniły. Jego przyjacielem, Polak, Staś Chomiński, jest nadzwyczaj budującym przykładem wierności i czystości uczuć. On kocha żonę i córkę Mateusza, jest oburzony na zalotną Miriam, i z rozpaczy napada na nią w nocy po pijanemu, przez co zraża ją do niebezpiecznej igraszki z duszą swego przyjaciela. Jeszcze więcej uderza czytelnika mąż Miriam, Artur, który Mateuszowi tłumaczy zawziętość życia i zachęca go do rozwiązywania zagadek, jakie życie nastroża. Występuje jako spokojny mędrzec, którego zdrożne igraszki żony nie razi ani gorszą. On od niej nie wymaga więcej, niż ona mu dać może.

Namiętność Mateusza jest wysokiej miary dziełem sztuki, i trzeba życzyć autorowi, aby w równie jasny i przekonujący sposób ukazał jeszcze wiele innych osób i stosunków.

3

Inny zupełnie świat i inny gatunek miłości odesłania nam nadzwyczaj osobliwy pisarz, Erick Rucker Eddison, wysoki urzędnik w ministerstwie handlu (Board of Trade) od trzydziestu lat, który we dnie zajęty ekonomicznymi sprawami, w wolnych chwilach ucieka od nich daleko, i pisze fantastyczne powieści tak dziwne, że wobec jego fantazji zarówno Wells, jak i Verne wydać się muszą dośedy pospolitymi.

Ostatnia z tych powieści nosi tytuł *Mistress of Mistresses*, czyli kochanka nad kochankami, wizja kraju Zimiamwia (wydana przez firmę Faber and Faber w 1935 r.).

W prologu autor przedstawia nam śmierć dziewięćdziesięcioletniego bohatera Lessinghama, który łączył w sobie wszystkie uzdolnienia, był poetą, malarzem, wodzem społecznym i politycznym, raz w Paragwaju, a później na północy Norwegii. Kochał kobietę piękną i świetną, Marję Scarnside, którą poślubił, mając lat 25, i utracił po piętnastu latach doskonałego pojęcia, poczem ją przez pięćdziesiąt lat wspominał, licząc na wieki z nią połączenie po śmierci. Polecił wiernemu swemu przyjacielowi spalenie po jego śmierci wspomnianego zamku, w którym jako pan licznych włości umierał i w którym przechowywał jej portret przez siebie namalowany. Pięćdziesiąt lat przedtem zniszczył wszystkie domy, w których był z ukochaną i wszystkie po niej pamiątki. Przy jego śmierci ona się zjawia, i obiecuje mu spotkanie w fantastycznym kraju Zimiamwia.

To nowe życie z ukochaną wśród fantastycznych przygód bohaterki opisuje autor. Ale bogatą osobistość Lessinghama rozszepcza na dwie osoby — na wielkiego pana i artystę, księcia Barganax i na rycerza Lessinghama. Także Marja, żona Lessing-

hama w ziemskim żywocie ukazuje się jako dwie osoby, Antiope, kochanka Lessinghama i Fiorinda, kochanka Barganaxa. Obie są do siebie podobne, a nadto Fiorinda uderzająco podobna do Lessinghama, Antiope do Barganaxa, który w tym świecie jest jej przyrodnym bratem. Stosunki tych czterech osób były takie, że często dochodziło do starć między mężczyznanami, a kobiety nigdy się nie spotykały.

Jednak miłość każdego z dwóch bohaterów dla ukochanej jest taką samą, jaką była miłość Lessinghama dla Marji — a główną jej treścią jest uwielbienie urody niezrównanej wszystkich tych trzech kobiet, które autor nam ukazuje jako wcielenia Afrodyty. Uwielbienie, przeświadczenie o boskości nadprzyrodzonej kochanki, rozkosz nadzwyczajna, jaką daje jej obecność — to są główne pierwiastki miłości kobiety u Eddisona — i wystarczają do tak doskonałego, trwałego i wiekiowego szczęścia i zachwytu, jakiego ani Mateusz nie mógł pozyskać od Miriam, ani Tomasz od Elżbiety. One były tylko kobietami, tegoż gatunku, co ich kochankowie — zaś Antiope i Fiorinda to są boginie, a raczej cudowne wcielenia jednej bogini miłości, która nagradza bohaterów, dając im sposobność do kultu. Taką miłość musiał poznać też autor w swoim doświadczeniu, gdyż dedykuje swą powieść wymownie „mojej madonnie“. Miał także uczucie don Kiszot dla Dulcyniei. Nic nie dowiadujemy się o cnotach i czynach takich boginek. One pozują malarzowi, lub królują wielkiemu zwycięzcy. Sama Antiope w chwili decydującej mówi do kochanka: „Nie mogę ci dać siebie, bo myślę, że siebie nie mam. Tylko mogę ci dać wszystko“.

Te dziwne słowa powtarza Fiorinda po śmierci Lessinghama, gdy sama gotuje się do śmierci. Te wcielenia bogini s i e b i e, czyli duszy nie mają, więc nie siebie dają kochankowi, tylko wszechbył, wyjście z siebie, rozplywanie się rozkoszne w idealnej cielesności. Niema w takim stanie miejsca na myśl, lub wolę — ale jest to upojenie nad-

zwyczaj rozkoszne, które powieść Lessinghama przedstawia kunsztownie nie tylko słowami autora, lecz licznych poetów, których on przytacza, szczególnie Safony w greckim oryginale z udatniami tłumaczeniami.

A poza chwilami oszolomienia miłością bohaterzy Eddisona prowadzą boje, doznają przewrotnych zdrad, odnoszą zwycięstwa, nie w obronie ideału żadnego, tylko dla dynastycznych urojeń, dla chwały i władzy. Jest to subtelna kombinacja rajy Mahometa z Walhallą, bez ofiar i cierpień, których wymaga chrześcijaństwo. Ta kraina marzeń Eddisona, Zimiamwia, jest opisana barwnie i ponętnie, nawet daje trzy mapy trzech królestw, z licznymi nazwami rzek i miast, twierdz i pałaców książęcych. Nie dowiadujemy się, z jakich źródeł płyną bogactwa, które autor opisuje. Niema wzmianki o ludźmi zamieszkującym te kraje. Spotykamy tylko rycerzy, zdrajców i damy dworu. W takich marzeniach odbija się ten sam duch germański, co stworzył Walhallę, i na tem tle dziwnie brzmią liczne greckie wiersze, deklamowane przez kochanków. Wprawdzie w tem towarzystwie jest jeden mędrzec przedziwny, Vandermast, ale on nie naucza, tylko milczy, lub uśmiecha się, lub stwarza gwoli zabawie gości czarodziejskie złudzenia.

Autor *Mistress of Mistresses* jest artystą niepowodzonej miary, i dzieło jego nieco przypomina *Żywe Kamienie* Berenta. Przebieg akcji odbywa się jakby we śnie, a całe opowiadanie to zaledwie jeden dzień w Zimiamwia, po którym liczne inne dni podobne mają nastąpić. Będzie bohater wielokrotnie doznawać czaru pierwszego spotkania z boginią ukochaną i pozyskiwania niby na nowo jej względów. Będzie ona w każdym żywocie wielką damą, nie potrzebującą się troszczyć o chleb powszedni dla siebie, ani dla swych poddanych. A jej wielbicieli będą staczać hoje i ginąć, aby znów w podobnym kalejdoskopie zmartwychwstawać. Jest to dośedy osobliwy gatunek literatury, godzien poznania dla badacza natury ludzkiej.

WINCENTY LUTOSŁAWSKI



Dwa wróble na gałzce bambusu (XIII w.)

religijnym wprost pietyzmem po cesarskich pałacach i świątyniach, a archeologia, młoda jeszcze sama, stawiała dopiero pierwsze kroki na terenie prehistorji i klasycznych cywilizacji europejskich. Zaledwie że zapoznanie się z chińską poezją, przenikającą od połowy w. XIX, dzięki tłumaczeniom angielskim i niemieckim, pozwalało odgadywać intuicyjnie, że społeczeństwo, które wydało takie klejnoty liryki, musiało posiadać też i sztukę, godną swej odwiecznej cywilizacji. Dopiero upadek cesarstwa, otwarcie zakazanych dotąd dzielnic stolicy a wreszcie badania archeologiczne, dokonywane od lat kilkudziesięciu przez uczonych europejskich i japońskich, zaczęły odkrywać przed oczyma zdumionego Zachodu skarby sztuki. godne najświetniejszych epok naszej cywilizacji. I zaczęły powstawać działy chińskie przy najważniejszych muzeach starego i nowego Świata, katedry sztuki chińskiej po uniwersytetach, naukowe czasopisma poświęcone badaniom tej sztuki.

Obecna wystawa londyńska jest jakgdyby ukoronowaniem dotychczasowych wysiłków w kierunku rzucenia pomostu między

CHINY NAD TAMIZĄ

(WYSTAWA SZTUKI CHIŃSKIEJ W LONDYNIE)

Poza przenikaniem sporadycznym w wiekach poprzednich, nie pozostawiając głębszych i trwałych śladów, Europa zapoznała się ze sztuką chińską właściwie dopiero z końcem w. XVIII, dzięki misjonarzom jezuitom. T. zw. „chińszczyzna“, tracąca tandetą i bazarem, wachlarze, parasole, parawany, pagody, figurynki, różnorodne przedmioty i miniatury zabaweczki zalały rynki Zachodu i stały się modą nie tylko dla niewybrednych ezerokich mas, lecz i dla

wielmożów tego świata, z których każdy uważał sobie za punkt honoru posiadać salon, urządzony w „chińskim“ stylu. Nie zdawano sobie wcale sprawy z tego, że ta „sztuka“ przedstawiała dekadencję wielkiej sztuki chińskiej, popadłej w senilizm i barokowy przerost. I pozostało tak aż do ostatnich lat dziesiątków. Poza tą całą eksportowaną tandetą, dobrą dla zachodnich „barbarzyńców“, Chiny strzegły zazdrośnie skarbów swej wielkiej sztuki, przechowywanych z

LUDZIE PRZED NOCĄ

Nazwę miłośnicy trudno było odnaleźć, zresztą była zbyt cicha, bo na jednym torze rzadkie pociągi nie mogły pośliznąć i chętnie przystawały, by choć minutkę odsapnąć. Na stacyjce był w oczy żarzący się w słońcu napis: „Piwo z Browaru Arcyksiążęcych...“, który, zamiast orzeźwiać, powiększał upał i wywoływał cierpką niesmak w ustach. Czerwoną, spointną twarz zanurzał ktoś na reklamie w luszczącą się pianę splekanego lakieru. Potem, przechodząc przez poczekalnię, budziło się szyby tkane z nieustannego, brzękliwego rojenia się much, i panienkę z „Ruchu“, wędznącą w daremnie oczekiwaniu, papierową jak bohaterowie groszowych powieści, które się zgóry zgaduje i napół rozcięte zapomina niedbale na półce. Dalej wpadało się w białe słońce i ulice brukowane kociemi łebkami. Tem tłumaczyłem sobie miauczenie i pisk, jakim omotane były wozy ciągnące od wczesnego ranka w dzień targowy. „Nasz“ dom był biały i trzypiętrowy. Stał nad ogródkiem, czarnym od miatu węglowego i pełnym ostrej woni kisańca kalu kurzego. Cały dzień wróblowato skakałem na rozpalonych płytach chodnika, pokreślonego kredą w klasy. Polowałem z dziećmi od Klimka na okruchy lodu, przywożonego do Browaru, tak samo napraszałem się, by pozwolono mi przysiąść się do „Ciotki z rągiem“, i kolysać się na tobołach brudnej bielizny, którą zbierała do prania od urzędników stacyjnych.

Właśnie dostąpiłem tej łaski i z przejęciem oglądałem pomarańczową narośl, podwiązaną czarną nitką, na czole Ciotki (już trzeci raz chciała się tej ozdoby pozbyć i za każdym razem wściekle łupanie w głowie, jak mówiła, zmuszała ją do przerwania operacji), kiedy ona otarła flanelowym rękawem świecący nos i zawołała psikliwie:

— Dzień dobry, panie Władziu!

Odpowiedział jej ukłonem słomkowego kapelusza i niewidzącymi oczami ześliznął się po nas. Mimo upału był czarno ubrany, a

pod pachą tulil czarwoną japońską parasolkę.

— Co to za pan? — zapytałem.

— To, widzisz, jeden taki, co tak żonę kochał, aż od niego uciekła. Zawsze mówiłam, że z tej mąki chleba nie będzie. Mój nieboszczyk mąż nie skakał kółko mnie na dwóch łapkach, bijal nawet, bo i to się w miłości przytrafić może, a gdzieby mi tam przyszła myśl o uciekaniu, a tej to za dobrze było, uciekła, zamarowała człowieka.

Między jej słowa kładzie się twardy turkot, a guz na czole kolysze się, jakby za chwilę miał dojrzeć i odpaść.

— Teraz już go z posady wyrzucili, bo do każdego telefonu leciał. Trochę chysia ma — pokazuje palcem na czole. — No, ale już złaż...

Dziś nie zębrzę o „jeszcze kawaleczek...“, o „jeszcze do rogu...“, wyskakuję zamyślony, przez chwilę mam ochotę dognonić go i dokładnie obejrzeć, ale upał wparł się na mnie i sypał w gardło gorący piasek. Oparłem się plecami o sztachety, palące przez koszulę, i dyszałem ciężko patrząc na gołębie, sypiące się jak płatki późnego jaśminu, w wysokie i zielone jak szkło starych butelek niebo.

Jeszcze wieczorem na strychu, wśród gmatwaniny helek i krokwi, skąd najwcześniejszy widać blade gwiazdy, dowiedziałem się od Cebulowej, że żona pana Władzia uciekła z takim, co ciągle jeździ i zbiera zamówienia, i że był on, o zgrozo, Żydem.

Dni były białe od skwaru. Już o dziewiątej widać stylizowane, pracowicie ułożone przy porannej toalecie fryzury kasztanów. Cienie kurczyły się i wiernie biegły przy nogach, lub ślizgały się po ścianach i wskakiwały do bram, by choć na chwilę z upału ochłonić. Lokomotywy spotniały i zadyszane pojo no długo i obficie.

Siedziałem na wydeptanych schodach i wycierałem wilgotne ręce o chłodny kamień, kiedy przeszedł koło mnie pan Władzio

szepcząc: „wróci, napewno wróci“. Słyszałem grzyt kafelka, a potem sapanie lokomotywy i pociąg, stękając, wpełznął w horyzont. Wróci, powtórzyłem to słowo, jak magiczne zaklęcie.

— Wróci — powiedziałem z mocą do mijającego mi pana Władzia. Przystanął. — Skąd wiesz? — zapytał.

Przymknąłem oczy i, połową twarzy podany na słońce, powtórzyłem z uporem:

— A wiem...

— Tak, tak... Napewno wróci. — Uśmiechnął się i podał mi rękę.

Po ostatnim jęku zegara, obwołującego południe na ratuszu, nastąpiła w piaszczystych wydmach za olszynami wijące się srebrnie Pluskoczy taka cieża, że słychać było, jak się sypał piasek z obrzeży kół i szprych pełnągęcego w perspektywie pół wozu. Nagle zakwitło nade mną niebo czerwonego parasola w jedwabne i lotne smoki. Pan Władzio miał oczy z błękitnej emalii i wiecznie zdziwione brwi.

— Cicho... Patrz — wskazał na wydmy — pokażę ci, jak wiatr rośnie...

Pod słońce powietrze falowało migotliwie, jak tkanka z cieniutkiej żelatyny. Wpatrywałem się uważnie. Tak, z piasku wytryskały wiotkie i lotne wici, szklane wodorostry kładły się na powietrze świetlistymi smugami. Widziałem cieniutkie, nitkowate pędy, zwijające się spiralnie i ulatujące gdzieś wysoko, by się spleść w jedną gęstwą błysków i ciepłych oddechów. Szafirowa wałka epoczywała na przezroczystej lodydze i z jej fantastycznym wzrostem unosiła się ze sztywno rozpostartymi skrzydłami. Piasek od tego nieustannego kielkowania wrzał jak kocioł scukrowanego miodu.

Nagle wszystko przygasło. Na przygięte, nieruchome kłosa sypał się popiół słoneczny. Przymknąłem oczy, by przywołać wizję, ale w różowym pulsowaniu krwi widziałem tylko tańczące roje cekinów o pawich kolorach. Odwróciłem się. Daleko między zbożami widziałem pod jego pachą parasol miękko zwisający, jak uwiedły mak.

Oddalał się szybko, jakby zapomniał o mnie.

Któregoś popołudnia zaszliśmy aż do Czerwonego Lasu. Pachnący macierzanką powiew odgarniał zielone kłęby gałęzi u wysmukłych sosnowych kominów. Opowiadał mi bezładnie i szybko. Przecież ona musi powrócić, to jasne, że wyszła tylko na chwilę, nawet parasolki nie wzięła, tej umiłowanej parasolki, z którą się ani na chwilę nie rozstała. Poglaskał pieściwie śliki jedwab. Ile razy stworzył ją nad sobą, wahanie rozwiewało się, a w pierśi rozrastała mu się kojąca pewność powrotu. Jakże może ona chodzić po słońcu bez parasolki i to jeszcze na taki upał, ona, która przed lustrem pospiesznie ścierała kremem rdzawe piegi, zdradliwe ślady pieszczot pogodnego dnia? Musi, musi powrócić... W kregu parasolki rósł inny, lepszy świat. Jego szepłotał się z suchym wrzaniem mrowisk, ze srebrnym trzeszczeniem świerszczy, szumem czesaniem sztywnych szpilek o szklane powietrze.

Dni były niekie od zwalów czarnych, lejących chmur, ulewy przewalały się bez pamiętania, na szybach rozplatały się bezustannie warkoczyki kropel, drzewa bezsilnie przygięte poddawały się falom wodnym. Z okien strychu widziałem zboża sztywno nastroszone, stapiające się z ukośnię zacinającym deszczem. Czasami robiło się jasno od błyskawic. Wieczory wstawywały pełne szybkich i lotnych kolorów, ludzące powrotem pogody, wszystko było jasne i wymyte, a szklana zielen pachniała gorzko o zmroku.

— Żeby to raz się ustaliła pogoda — biadolila Cebulowa, kiedyśmy w szumie deszczu, siekającego blachę dachu, wieziali opite wodą prześcieradła.

— Pan Władzio wczoraj znowu się awanturował na stacji. Jutro to już rok mija, jak mu żona uciekła. Cięgiem chodzi, i wypytuje: jechała taka, a taka? sprzedawał jej pan bilet?... a dokąd?... Co mu się tam nie natumacza, że to już dawno, rok będzie temu. I kijem go nie odpędzisz. Na kolanach błaga kasjera, żeby mu prawdę powiedział, bo przecież on tylko na chwil-



Przejażdżka przy świetle księżycy (Ma Yuan?)

Wschodem a Zachodem, między koncepcją artystyczną tajemniczej duszy azjatyckiej a naszą. Stanowi ona istotną datę historyczną w dziele zblżenia i lepszego poznania się tych dwóch światów. Urządzona w królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, t. zw. Burlington House, przy Piccadilly, zgromadziła ona najcenniejsze skarby sztuki chińskiej trzech tysiącleci, pochodzące nie tylko z wielkich muzeów i zbiorów prywatnych całego świata, lecz przedewszystkiem z pałaców cesarskich i zbiorów państwowych w Chinach. Po raz pierwszy zostały tu udostępnione bezcenne dzieła geniuszu chińskiego, dzięki uprzejomości chińskiego rządu, i około osmset okazów przewieziono ubiegłego lata do Londynu, przy zachowaniu najdalej idących środków ostrożności, na pokładzie angielskiego krążownika wojennego „Suffolk”. Można powiedzieć bez przesady, że obecna wystawa przewyższa jeszcze, co do swego znaczenia dla sztuki i nauki, poprzednie wystawy londyńskie, wśród których były jednak tak doniosłe, jak wystawa włoska, perska i francuska. I upłynęła z pewnością dziesiątki lat, jeśli nie

kę, tylko, żeby parasolkę oddać... Dopiero jak go wyśmiali, że się z taką papierową parasolką na ulęwę pcha, zrozumiał i obiecał spokojnie czekać aż się rozpogodzi. Tylko, żeby oni mu zaraz dali znać, jakby się kto o niego pytał, ale kto się tam będzie pytał, pies się o niego z kulawą nogą nie zatroszczy...

Wieczór się palił jasną zielenią, słońce ścieliło się po samej ziemi. Rynny mamrotały swoje deszczowe gawędy. Budowałem właśnie z pękniętego szkła od lampy kanał, kiedy pan Władzio, przechodząc, skinął na mnie. Byłem utapiany w błocie, z płowemi włosami osypującymi się na oczy, zarumieniony od twórczego trudu. Oplókałem ręce w kałuży spienionej po brzegach od niedawnej ulewy — i już byłem gotów. Ale on obejrzał krytycznie moje boscie nogi.

— Nie, tak cię wziąć nie mogę. Idź, ubierz się porządnie. Coby ona powiedziała na takiego łobuza!

Tego mi było za dużo. Wziąłem się napowrót do roboty. Pan Władzio stał chwilę, kręcąc bezradnie parasolką, i nagle przyjazd żony wydał mu się dziwnie nieprawdopodobny i odległy. Pozwolił mi iść tak jak jestem. Ale ja zawiązałem się i z pasją zatapiałem papierową flotę.

Tego dnia zabroniono mu przychodzić na stację.

Cały dzień było słońce. Zboża cichutko szumiały, kiedy wodziłem rozczapierzone mi palcami w gęstwie kłosów. Dochodziliśmy do wypaczonych bud przedmieścia, kiedy przebiegl kolo nas jakiś chłopak wołając: jedzie, już jedzie. To przypadkowe słowo poderwało pana Władzia, złapał mnie za rękę i zaczął biec. Za rogiem zobaczyliśmy rząd powozów.

— W którym? — zapytał gorączkowo.

— W pierwszym — odpowiedziałem, bo pierwszy był najdalej i miałem pewność, że go nie dogoni. Ale on wydarł mi rękę, spoczną i gorącą, i wymachując płomieniem złożonej parasolki, jak archanioł, dopadł karety. Popędziłem za nim. Widziałem, jak skoczył i przywarł do drzwiczek. Za

wieki całe, zanim będzie danem oglądać zebrany na jednym i tem samym miejscu pokaz twórczości artystycznej równego znaczenia. Zbytecznym jest nadmienić, że wystawa urządzona jest wzorowo. Zachowanie porządku chronologicznego w rozkładzie obiektów, doskonały katalog, poprzedzony przedmową L. Binyona, bogaty w informacje dotyczące eksponatów, wreszcie liczne objaśnienia, umieszczone na samych eksponatach, pozwalają nawet laikowi na szybkie zorientowanie się w dość zawiłych dziełach sztuki chińskiej.

Wystawa obejmuje następujące działy: malarstwo, rzeźbę, tkaniny, brzozy, porcelanę, ceramikę, wyroby z jadu i laku, kaligrafowane manuskrypty, umeblowanie i kołtjomy. Jak już wspomniałem, około trzy tysiąclecia chińskiej twórczości artystycznej reprezentowane są na wystawie, mniej więcej od epoki dynastji Han (III w. przed Chr.) aż do ostatniej dynastji Ching¹ (albo Mandżu), złożonej z tronu w r. 1911. Niektóre zabytki ceramiki, brzozy i jadów sięgają nawet aż po epokę neolityczną, zaczynając od dynastji Shang-Yin (w. XVIII przed Chr.).

Omawiając pokrótce poszczególne działy, zacznę od m a l a r s t w a, tej najgłówniejszej i najbardziej charakterystycznej gałęzi sztuki chińskiej. Malarstwo i pismo w Chinach są właściwie manifestacjami jednej i tej samej sztuki. Tu i tam ten sam jest instrument, t. j. pędzel, tu i tam głównym środkiem uwidacznienia myśli jest tusz, gdyż nie tylko znaczna ilość malowideł wykonana jest wyłącznie tuszem, lecz nawet tam, gdzie użyto barw, tusz służy zawsze jeszcze do zaznaczania konturów.

Charakter ideograficzny pisma chińskiego, do którego kaligrafji przywiązywano zawsze ogromną wagę, oraz właściwości materiału, służącego do pisania i malowania: papieru i jedwabiu, niepozwalających na zmiany i poprawki, stawiały wysokie wymagania co do zręczności pisarza i artysty, zmuszały jednego i drugiego do uprzedniego ustalenia koncepcji zamierzonego dzieła. Stąd ograniczenie się do najważniejszych motywów, koncentrowanie przedmiotu z pominięciem szczegółów drugorzędnych.

Mimo świetnej znajomości i obserwacji natury, malarstwo chińskie nie dąży do jej naśladowania, nie posługuje się linearną perspektywą, przedmioty i osoby nie rzucają tu cieni, atmosfera i głąb oddawane są w krajobrazach odcieniami tonacji a modelek figur konturami form.

Dzieła malarstwa chińskiego przedstawiają się w formie obrazów zawieszanych na ścianie, albo też — i to stanowi oryginalność właściwą zarówno sztuce chińskiej, jak i japońskiej — w formie rulonów, u-

¹ Imiona i nazwy chińskie podane są w transkrypcji angielskiej.

zielonkawą szybą z atlasowego pudła, jak fałszywy klejnot, błyszczącą sztywną biel goru pana młodego i wykrzywiona przetrachem, zapijaczona gęba. Oblubienica miała krucze włosy i twarz pełną przypudrowanych rumieńców, wtuloną w kruchą pianę welonu. To nie była ona. Woźnica w błyszczącym cylindrze zaczął batem po splecionych z klamką palcach. Człowiek odpadł. Zakryłem sobie oczy i usłyszałem trzask i syk pękającego jedwabiu. Parasolka dostała się pod koła. Już zbiegli się ludzie, podnosili go. Lecział im przez ręce i tylko przyciskał kurczowo do piersi drzazgi bambusu i strzępy poprutej czerwieni. Obok była apteka. Na wystawie, wśród opłowiwałych pudel i czarnych okrucich zasuszonych much, opalizował ogromny słoń, w którym, jak skrawki czarnych tasiemek, wily się wygłodzone pijawki. Złożono go na zielonej pluszowej kanapie. Doktor w załuszczonym tużurku, obsypany popiołem wygastłej fajki, laził po nim wszechwładzami rękami. Marszczył czoło i wydymał grube wargi. Wreszcie odrzucił głowę w tył i powiedział:

— Nie mu nie jest. — Pan Władzio leżał, jak sztywny woskowy manekin, w oczach, wywianych z wezlekiego uczucia, odbijały się półki pełne zakurzonych butelek. Doktor wzruszył ramionami i pił wolno wodę z fioletowego syfona.

Sanitarjusze, jak dwa białe duchy, ujeli chorego pod ramiona i unieśli w stronę karetki. Z bezsilnych palców wysunęły się języki spłowiałego jedwabiu i walły się po podłodze jak kałuże zakrzepłej krwi.

Z poklasktornej kaplicy nadlatywał z wonią wędnących kwiatów i topiącego się wosku spazmatyczny jęk litanji.

— Od nocy wiecznej ratuj nas, Panie...

Przypadłem twarzą do kolan babki i wolałem głosem rozsypującym się we łzach:

— To nieprawda, on nie...

Za oknem sypał się drewniany klekot kopyt końskich i blaszano zawodziła trąbka.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

mocowywanych na dwóch walkach i przeznaczonych do oglądania przez kolejne rozwijanie, od strony prawej ku lewej, podobnie jak teksty pisane. Jeszcze jeden rys wspólny malarstwu z piemem.

Malarstwo chińskie znało również i malarstwo ściennie, zblżone swą techniką do naszego malarstwa freskowego. Niestety tylko bardzo nieliczne pomniki tej sztuki dochowały się do naszych czasów, jak np. freski z epoki Han, odkryte niedawno w grobach południowej Mandżurji przez archeologów japońskich. Wystawa londyńska pozwala nam oglądać kilka fragmentów tego rodzaju fresków.

Tematy malarstwa chińskiego są mniej więcej te same, co sztuki europejskiej, odmienną jest natomiast rola, jaką grają w tej sztuce i odmiennie ich pojmowanie. Portret nie służy bynajmniej próżności portretowanej osobistości, lecz albo kultowi przodków, albo też celom etycznym, mając przypominać przykłady i wzory godne naśladowania. Wogóle człowiek i jego czynności nie grają w sztuce chińskiej tej dominującej roli, co u nas. Jest on tam tylko jednym z niezliczonych tworów stworzenia, jedną z manifestacji wiecznego pulsującego i odnawiającego się życia, i jako taki nie zajmuje w krajobrazach stanowiska wyższego od tego, jakie artysta rezerwuje dla gór, rzek, zwierząt i kwiatów. Pejzaż, temat *par excellence* chiński, rozwinął się tam w odrębną gałąź malarstwa na długie wieki zanim do-



Portret T'ai Tsu, pierwszego cesarza dynastji Sung (panującego w l. 960—975)

szedł do tej roli w sztuce europejskiej, to też osiągnął w Chinach doskonałość niedosięgniętą w swej epiuryalizacji i poezji.

I jeszcze jedna właściwość malarstwa chińskiego, którą można doskonale obserwować na londyńskiej wystawie: malarz, gdy kładzie główny nacisk na stronę duchową swego dzieła, okazuje niesłychaną powściągliwość w używaniu kolorów, najczęściej wystarcza mu rozległa skala odcieni, jakich może mu dostarczyć tusz. Natomiast tam, gdzie chodzi o oddawanie rzeczywistości, scen historycznych lub życia codziennego, artysta chiński posługuje się kolorystem.

Najlepsze wyjaśnienie koncepcji artystycznej chińskiego artysty znajdujemy w notatkach, jakie się przechowały po wybitnym pejzażyście z epoki dynastji Sung (X—XIII w. po Chr.), Kuo Hei. Zamilowanie w krajobrazie tłumaczy on instynktownym dążeniem człowieka do oswobodzenia się od więzów trosk i rutyny i szukaniem odświeżenia pośród gór i strumieni, pokrewnych jego pierwotnej naturze. Lecz kto podchodzi do lasów i potoków z poczuciem dumnej wyższości, temu nie objawia one nigdy swych tajemnic. Ten tylko potrafi je odmalować, kto im otworzył swe serce. Krajobraz musi być ponadto obserwowany z pewnego oddalenia, tak by umysł mógł pojąć harmonję, która w nim panuje nad różnorodnością form. Tradycja powiada, że Kuo Hei, zasiadając do malowania przed szerokim oknem, starał się wprzód usunąć wszystko, co by mogło rozpraszać jego uwagę, a zapaliwszy na prawo i na lewo wonne kadzidla i umywszy swe ręce, wybierał najdelikatniejszy pędzel i najlepszy tusz, i skupiwszy wszystkie myśli, wtedy dopiero zabierał się do pracy. Koinuż nie przypomniał to mistrzów naszego średniowiecza, którzy jak np. Fra Angelico szukali przed pracą skupienia w modlitwie?

Najwcześniejsze dzieła malarstwa chińskiego, które możemy oglądać na londyńskiej wystawie, pochodzą z epoki dynastji Tang (VII—VIII w. po Chr.). Należy założyć, że British Museum nie wypożyczyło jednego z swych najstarszych skarbów, kompozycji przypisywanej wielkiemu mistrzowi IV-go wieku po Chr., Ku K'ai-Chih, a w każdym razie starszej niż najdawniejsze malowidła wystawy. Są to t. zw. „Napomnienia”, udzielane damom dworu a przypominające wdziękiem ruchów i subtelnością linii prymitywów sienneńskich. Epoka dynastji Tang należy do największych epok sztuk pięk-

nych, nie tylko Chin, ale bodajże całego cywilizowanego świata. Nawiązanie kontaktu z Zachodem i z Indjami okazało się niesłychanie owocnym dla sztuki chińskiej, a buddaizm przenikający do Chin inspirował bardzo szczególnie ich sztukę. Wystawa londyńska pozwala nam zapoznać się z tą epoką przez fragmenty malarstwa na jedwabiu, pochodzące z Astana kolo Turfan, zdumiewające świeżością kolorytu, oraz przez kompozycję przedstawiającą daniela w lesie, malowaną na jedwabiu. Koloryt i rysunek przypominają tu słynne freski z w. VI-go, odkryte w grotach Tun-Huang.

Epoka dynastji Sung (X—XIII w. po Chr.) reprezentowana jest na wystawie londyńskiej całym szeregiem pierwszorzędnych utworów, pochodzących częściowo od znanych i znakomych mistrzów tej epoki. I tak możemy tu podziwiać słynne dzieło malarza Heia-Kuei, rulon szerokości 26 cm. a długości 12 metrów, przedstawiający tuszem na jedwabiu „Mirjad mil rzeki Yangtze”, od źródeł aż do jej ujścia. Podobnie jak życie ludzkie przewija się tu przed naszymi oczyma potężna rzeka poprzez huczące wodospady i zdradliwe katarakty młodości, uspakając się zwolna w swym biegu, oplókując przybrzeżne siola i miasteczka, nosząc na swych barkach czołna i dżonki, aż wreszcie w majestacie potęgi i poczucia spełnionych celów swego istnienia rozplywa się w morzu wszechbytu. Takimi oczyma patrzył chyba eędzy Faust, na zachód dni swoich! Inny rulon pochodzi z Muzeum w Sztokholmie i wykonany był przez Hsu-Wei. Krótszy, bo liczący niewiele więcej 3.5 metra, oddaje on kilku pociągnięciami pędzla, lecz jakże genialnie, cztery pory roku w ich typowej vegetacji i florce. Gdzieindziej artysta przedstawia nam ptaki i zwierzęta, zaobserwowane z wielką miłością i wniknięciem w ich istotę. Najbliższej naszej uczuciowości są może te malowidła, gdzie artysta przy dużej powściągliwości kolorystycznej, stara się oddać czar nocy księżycowych. przejażdżek czołnem przy pełni, przepraw przez rzekę i t. p. Tak np. obraz nieznanego mistrza, zatytułowany: „Przypijanie do księżycy”. U stóp gór, osrebrzonych księżycową poświatą, łódź stanęła u brzegu rzeki, a jej pan, przybrany w białe szaty, z za stolika, przy którym usiadł przed czajnikiem herbaty, podnosi filiżankę ku księżycowi, podczas gdy służdy przygotowują, w głębi łodzi, drugi czajnik, na małym piecyku, a znużony wioślarz usnął z wioślem na kolanach i głową wspartą na ramionach. Nie sposób opisać lub choćby tylko wyliczyć tych wszystkich obrazów, które poprzez wieki i różnice ras i cywilizacji, potracając o pokrewne struny naszej duszy. Nie mogę jednak powstrzymać się, by nie wspomnieć o jednym jeszcze malowidle, zatytułowanym „Pracowite próżnowanie”, dzieło malarza Ma Ho Chih. Pod rozłożystym drzewem zasiadł poczciwy jakiś, półnagi włóczęga, i uwiązawszy sznurek dookoła dużego palca prawej nogi, trzyma jeden koniec w zębach i zabawia się, podciągając za drugi koniec nogę do góry lub spuszczać ją na dół. Co za dziwny, tak bardzo nowocześnie pomysł u tego mistrza XII-go wieku, jak świadczy on o filozoficznej pogodzie umysłu i zdolności wznoszenia się ponad marność trosk i zabiegów codziennego życia!

Przykłady malarstwa z epok następných, dynastji mongolekiej (w. XIII—XIV) i Ming (w. XIV—XVII) dowodzą, że wielkie tradycje tej sztuki są kulturne w dalszym ciągu, że artyści tych epok pozostają na wysokim poziomie osiągniętych przez ich wielkich poprzedników z epok Tang i Sung. Świetny portret cesarza T'ai Teu, pierwszego monarchy dynastji Sung, wykazuje nadzwyczajną umiejętność łączenia hierarchicznej stylizacji z portretowym podobieństwem i żywością wyrazu.

Za ostatniej dynastji, mandżurskiej, malarstwo chińskie zaczyna chylić się ku dekadencji a zapoznanie się ze sztuką europejską, za pośrednictwem jezuickich misjonarzy, nie umie dać sztuce chińskiej nowych impulsów. Jeden z tych misjonarzy, Castiglione, sam zdolny malarz, przybiera chińskie miano Lang Shih-Ning i przejawia się chińską techniką i koncepcją, tworzy dzieła, kontynuujące twórczość malarzy chińskich. Na dwóch z nich, pochodzących z Musée Guimet w Paryżu, zamyka się pokaz tej pasjonującej gałęzi chińskiej twórczości artystycznej.

O pozostałych działach wystawy pomówimy następnym razem.

MARJAN HENZEL

Paryż.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

jedne od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”: Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9.41-53).

JAKIEJ PSYCHOLOGII POTRZEBUJE HUMANISTA?

Nietylko pracownicy nauk humanistycznych, ale też artyści i literaci, a nawet i praktycy życia politycznego i ekonomicznego nie kryją swego rozczarowania w stosunku do oficjalnej nauki psychologicznej, od której spodziewali się pomocy w swej pracy zawodowej. Wezak z tytułu samej nazwy ma psychologja dostarczyć im solidnej podstawy do zorientowania się w oszalałym bogactwie ludzkiej kultury oraz dopomagać w pewniejszym przewidywaniu zachowania się bliźnich w danych sytuacjach, tymczasem znaleźli w niej oni imponujący wprawdzie ilościowo i jakościowo dorobek badawczy, ale dotyczący spraw tak drobnych i niezyciowych, że zasadniczo nie mogło być mowy o powiązaniu tych zdobyczy z ich potrzebami. Już w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku podniósł ten moment znany filozof i historyk W. Dilthey i dla usunięcia tej niedogodnej przeszkody dla obu stron sytuacji wysunął program nowej nauki, którą nazwał psychologją realną lub strukturą, a której zadaniem miało być nawiązanie kontaktu z życiem humanistycznym przez zasadnicze odrzucenie w badaniu metody przyczynowo-wyjaśniającej i użycie wyłącznie metody opisu-rozumiejącej. Mimo, że współcześnie z nim inny na przyrodznawstwie oparty filozof, R. Avenarius, wysuwał też program zupełnie analogiczny uprawiania psychologii raczej warjacyjnej, niż mozaikowej, i nawet przykładem własnych prac wykazał pożytek tej zmiany nastawienia badawczego, nie wzbudziły pomysły Diltheya echa wśród psychologów naukowych i dopiero obecne czasy powojenne przyniosły zrozumienie i uznanie jego koncepcji dzięki dojrzeniu odpowiednich zagadnień w obrębie samej przyrodniczo nastawionej psychologii oraz powstaniu w jej ramach t. zw. psychologii całości czy też postaci lub struktur.

Zaczęło się od skromnych badań W. Wertheimera i innych nad związkiem między spostrzeganiem figur przestrzennych lub ruchu a spostrzeganiem ich składników, lub też poruszających się przedmiotów a doszło się do odkrywania ogólnych praw wyznaczających własności przeżyć w zależności od cech całej osobowości, t. j. całego układu potencjalnych dyspozycji i aktualnych doznań podmiotu psychicznego. Dzięki temu zdobyto wreszcie pozytywną możliwość poddania ściślemu badaniu tych niezmiernie skomplikowanych procesów psychicznych, które zachodzą przy tworzeniu dóbr kultury, stanowiących właśnie źródło zagadnień i punkt wyjścia dla badań psychologa humanistycznego. Chociaż jednak zasadnicze idee Diltheya zyskały w ten sposób mocny fundament eksperymentalnie sprawdzanego doświadczenia, to jednak badawcza praca w psychologii humanistycznej nie posiada jeszcze dotąd dostatecznie w szczegółach sprezywanego programu w kontekście ogromnego balastu metafizyki — zwłaszcza typu heglowskiego idealizmu — uniemożliwiającego nieraz wprost rozumienie prac z tej dziedziny umysłem domagającym się pewnego minimum pozytywnej jasności i ścisłości. To też przed rozbudową samej psychologii humanistycznej, albo równocześnie z tem, musi iść praca nad oczyszczeniem jej języka z tradycyjnego spadku mgłności i niedbałości i w tym kierunku właśnie odda duże usługi niedawno wydrukowany artykuł dr. L. Blaustejna p. t. „O zadaniach psychologii humanistycznej”¹. Autor przeprowadza w swej pracy bardzo zwięźle i trafnie powiązanie zadań psychologii humanistycznej z badaniami nad całościami przeżyciowymi wyższego rzędu, ale pominał pewien moment, mem zdaniem, bardzo charakterystyczny dla tej dyscypliny naukowej i pod tym względem pragnęłbym uzupełnić jego wywody oraz rozpocząć dyskusję.

Otóż sądzę, że zadania psychologii humanistycznej muszą mieć — zgodnie z intencjami twórców tej dziedziny — charakter więcej praktyczny niż teoretyczny, że więc musi ona mieć bliższe związki przede wszystkim z psychologją stosowaną i mianowicie specjalnie z tą jej dziedziną, którą nazywam psychologją praktyczną, a która dopiero teraz powoli zdobywa charakter pozytywnej nauki i porzuca piętno spekulacyjno-metafizyczne. Mam na myśli ten kompleks spraw, które zajmowała się tradycyjna charakterologia, fizjonomika i grafologia, a które polegają ogólnie na poszukiwaniu związków między cechami osobowości a własnościami zachowania się człowieka w życiu potocznym. Jego rysami twarzy lub osobliwościami pisma. Dzięki rozwojowi metod badawczych psy-

chotechniki i innych działów testującej psychologii stosowanej zyskały zagadnienia psychologii praktycznej doskonały obiektywny sprawdzian dla swych rezultatów, więc można żywić nadzieję, że w niedalekiej przyszłości sprawy te zostaną naukowo dostatecznie opracowane, a t. zw. „znawstwo ludzi” przestanie być wyłącznie sprawą niewyrobioną dostatecznie doświadczeniem intuicji. Zdaje mi się, że psychologia humanistyczna musi być z temi problemami związana istotnie, jeżeli słuszne są pretensje, jakie praktycy i teoretycy humanistyki mają do psychologii, a związek ten musi być, mem zdaniem, na tyle bliski, iż nie wystarczy dla jego określenia zwrot o korzystaniu przez psychologję humanistyczną ze zdobyczy psychologii praktycznej, lecz trzeba przytem mówić o najbliższej współpracy przez nadanie pierwszej wprost charakteru nauki praktycznie nastawionej. Dopiero też takie ujęcie zadań psychologii humanistycznej pozwoli jej na wykorzystanie tych niezmiernych skarbków obserwacji psychologicznej, które są zawarte w pismach Vauvenarguesa, Nietzschego i innych pisarzy aforystycznych.

ADAM WIEGNER

POWIEŚĆ

POLA GOJAWICZYŃSKA: *Rozmowy z milczeniem*. Warszawa 1936, Gebethner i Wolff.

Rozmowy — albo może długi różaniec z nawleczonych na nitkę tomu ziaren żalu, goryczy, tęsknoty, nadziei, miłości i równoprawnej z nią nienawiści. Jedno za drugim przesuwają się ziarna, towarzysząc rozważaniom bolesnej i radosnej tajemnicy życia. Tajemnic bolesnych jest więcej, bo dla autorki „życie samo w sobie od kolebki kreślone jest linją w dół”, bo „życie samo ze śmiercią u końca drogi jest kłęską”, bo „dzień człowieka, pełen trudu i tęsknoty zgóry jest przegrany”.

Oto dźwięk kamertonu, wedle którego stroją się owe „rozmowy” w nowym tomie Gojawiczyńskiej. Jakąby przykleić do nich etykietkę? Nie feljtony (to nie nie mówi, albo mówi źle), nie impresje. Może refleksje liryczne, może prozą pisane liryki refleksyjne. Treść ich dokonywa się całkowicie w duszy, czasem w nerwach autorki, a tak zwany świat zewnętrzny jest pretekstem, jest przypadkowym pchnięciem myśli w pewnym kierunku.

W te ciche, mimo że namietne nieraz szenty duszy, wtargnęło parokrotnie życie realne głosami dobrze nam znanymi — Śląska i Nowolipiek. Wraca autorka myślą do zielonego Śląska, gdzie nędzarze za grosze wyrabiają kamień ciężkimi kilofami i w tem jeszcze okrada ich przedsiębiorca (*Czysty zysk*). Przypomina sobie, jak to w mieście pogranicznej świetlowano uroczystość odzyskania morza (*Ognie na granicy*). Wreszcie zapuszcza się w kraj swego dzieciństwa — na Smoczę, Nowolipki, Leszno, aby stwierdzić z przerażeniem, że się tam nie żyje tylko zdycha, zdycha powoli, pokoleniami, w świecie po wrebh zawałonym brudem. I zdąża na Świętojańską, Świętojerską, szukając śladów przeszłości, a znajdując smutne życie cichej kędy (*W starej dzielnicy*). Jeszcze jeden „obrazek” należy do tego typu: *Głosy z podwórza warszawskiego*, które różnymi pieśniami — religijnymi, rewjowami, salonowymi — wołają o jedno i to samo: o groź z miłośierdzia czy niecierpliwości rzucony. Ten typ wypada nieco z ogólnego charakteru książki — przynajmniej w ujęciu artystycznym, bo co do treści ostatecznie i tu odpowiada autorce głuche milczenie, gdy pyta, czy tego nikt nie zmieni i ku czemu wszystko zdąży...

Ale te inne, trudne do nazwania utwory? Czem są i o czem mówią? O muzyce, która gwałtem wyrwa człowiekowi to, co chciałby na najdalszym dnie duszy pochować. O wiosnie, która zawsze na nowo budzi niepokój we krwi. O dzieciach, które tak niefrasobliwie i nieświadomie konią na brzegu morskim dom — ten przyszły symbolizmy D. O. M.

Wokół zjawisk realnych, wokół rzeczy zasłyszanych, przedmiotów widzialnych osnuwa się subtelna a mocna pajęczyna myśli i uczucia, i dzięki niej uzyskują one swoją ważność, swój pretekst bycia. Oto w urwkaach jedno z opowiadań — *Łańcuchy*:

Kleimy długie łańcuchy wieczorami, przy stole, który lśni słonecznie. Wąskie paski papieru, kolorowe. Biorę czerwony — to miłość, przepłatom złotym kwoli uświetnienia miłości. Potem żółtą zazdrość i zieloną nadzieję i fioletową żal-

bę. Przepłatają się z sobą, łącząc koła i plyną. Wkońcu zimną srebrzystością... Wyrwam drzazgę z serca, tkwi tam od kilku dni, przytwardzam ją do łuku pyzatego aniołka i wraz budzą się życzenia groźne. Obyś zasnął miłości — mówię komus oddalonemu — obyś zapłakał — obyś pragnął daremnie... Robimy szopkę. Na garści siana spożywa Ono. Dłoń wzniosła w górę. Pokój ci — mówię komus oddalonemu. Spoczniej wreszcie... Biorę purpurowy krążek i przepłatom go bratersko z fioletem, sklejam mocno. Oto nierozłączna kolej rzeczy — wiedź. To wszystko musi się stawać kolejno — miłość i żaloba, wszystkie barwy juk w łańcuchu, oplatającym zielone drzewko — życie. A wkońcu jeszcze jedno ogniwo — zimna srebrzystość.

W jakże przedziwny, wzruszający sposób dokonywa się tu alegoria. Wedle powszechnie znanej symboliki barw, przy użyciu popularnego porównania życia ludzkiego z ogniwami łańcucha, ręka, klejąca łańcuchy na choinkę dla dziecka, tworzy obraz życia: ból kładzie koło miłości, na końcu wszystkiego srebrzystość galonów śmierci. Aniołek, obdarzony lukiem i strzałą z serca wyjętą, staje się Amorem raniącym boleśnie serca najbardziej nieczule. Dzieciatko na sianie z rączką wzniesioną to przeciwnie — ukojenie: pokój ludziom dobrej woli! Choinka — to zielone drzewo życia. Z tych elementów zużytych, tradycyjnych powstaje jednak całość niezwykle świeża. Przy beztrojskiej pozornie pracy-zabawie serce kobiece przeszywania zmianie uczucia — zemsty i przebaczenia. Rzeczywistość realna odgrywa w tem rolę nikłą, pomocniczą — nie istnieje dla siebie, ani przez siebie, ale dla uczucia ludzkiego. Z takim ujęciem spotykamy się wielokrotnie w tym tomie.

Ale czas przejść do innej sprawy. W chwili goryczy mówi się złościwieki, który zawiódł: obyś zasnął miłości! Więc miłość ma być karą i boleścią. Może tylko miłość nieważna?

Nie, nietylko. Każda miłość jest kłęską, jest boleścią, jest ostateczną przegraną. Przelija serce jak cieniutki sztylet wenecki, ale niepodobna jej umknąć: życie jest głodem i miłością. Różnie i oddawna mówiono to samo o miłości. Jeden z mędrców antycznych twierdził, że dwie są siły władcze, rządzące bytem: miłość i nienawiść. To samo dostrzegali w makrokosmie zaślakany w za wczesną dla niego epokę Sęp-Szarzyński: „miłość jest własny bieg życia naszego”. Wiedział on to samo, co autorka *Rozmów z milczeniem*, że i miłość i brak miłości jednako udrecza serce. Szarzyński wie jednak coś więcej: żadna miłość nie wstarczy sercu, któremu wszystko mało, gdy nie widzi wiecznej i prawej piękności — Boga, celu swej miłości. Jego chrześcijański platonizm odbiera demoniczną żywiołowość miłości i cierpieniu miłosnemu. Tymczasem u Gojawiczyńskiej metafizyczne tęsknoty nie kształtują pojęcia miłości. W działaniu jej upatruje nisarka siłę żywiołu, a w skutkach tragizm dla serca kobiety. Taka postawa wobec miłości jest, zdaje mi się, zniemienna dla dzisiejszej literatury kobiecej.

W takim też poglądzie leży przyczyna, dla której *Dziewczęta z Nowolipiek* budziły tyle nieporozumień. Mówiono: książka smutna. Tak — stosunek do życia Gojawiczyńskiej nie służy krzepieniu serc. Oburzano się: czemu te dziewczęta poginęły? Zginęła tylko jedna. Inne poopałaly sobie skrzydła. Uczuły pierwsze mocne uderzenie życia, od którego oczekiwały najwiecej szczęśliwej miłości. Tymczasem miłości szczęśliwej niema. W takim czy innym znaczeniu miłość jest dziś uznawana za „nie dobrą”. Taką samą katastrofę zaufania do życia przeżywa Elżbieta, córka Agnieszki. A przecież ma ona wszystkie możliwości, których tamte biedactwa były pozbawione: jest zamożna, otrzymuje wykształcenie, może poświęcić się ukochanej sztuce. A przecież i ona przeżywa kłęską w miłości, a ratuje ją od ostatecznego zakłamania — dom matczyny. Nie mają z a u f a n i a do miłości piearki, odkąd zauważyły, że życie jest trudne, tem trudniejsze, im słabszy jest człowiek, który musi mu podolać, a tymczasem z dwójga ludzi, złączonych miłością, słabszy i bezbronnejszy jest ten, kto kocha więcej, bo odsłania się i rozbraja w uczuciu. Wie o tem stara wujenka Joanny (*Wędrowka Joanny* Ewy Szelburg-Zarembiny), kiedy ostrzega młodą dziewczynę: nie kochaj nigdy, Joanno — nie warto. Ale i ona dochodzi do tego przekonania wtedy, gdy ta groźna siła wycisnęła na niej piętno ohłędu.

W ten sposób wydaje mi się, że ostatnia książka Gojawiczyńskiej, tyle mówiąca o smutku i miłości, spełnia także rolę komentarza do jej nieskończonej narazie powieści. Rozumie się, że przy pomocy *Rozmów z milczeniem* nie trzeba szukać w *Dziewczętach z Nowolipiek* powieści o roli kobiet w ruchu konspiracyjnym z lat 1905—6, jak tego domagał się pewien adwokat w *Wiadomościach Literackich*. Rozumie się, że głęboki smutek, wiejący z kart tej książki, nie jest nastrojem, ale wynikiem postawy życiowej autorki, ugruntowanym głęboko na jej widzeniu świata. Popelni się też wielki błąd, szukając realizmu psychologicznego w posta-

ciach tej powieści i stwierdzając ich niezgodność z naszym doświadczeniem.

Bystre obserwowanie szczegółów, umiejętność chwytania cech charakterystycznych dawało u Gojawiczyńskiej dotychczas nieporównaną żywość i plastyczność; więc obraz śląskiego miasteczka i jego mieszkańców, więc życie drobnomieszczaństwa i rzemieślników przedwojennych. Na tem tle jednak stawała autorka postaci-koncepcje, zresztą ze wszystkimi cechami ludzkimi. Realizują one jej widzenie życia. Nie trzeba się dziwić, że dziewczęta z Nowolipiek utkwiły tak boleśnie i mocno w kręgu spraw erotycznych, skoro jeden z urwków ostatniej książki rozpoczyna się tak: „Kobiety szły drogą i szeptały o tęsknocie i miłości, o miłości i tęsknocie. O czemże innym mogłyby mówić kobiety?”

Czytanie książki utrudniają zdobijące ją ilustracje i winiety. Są one czemś pośrednim między secesją a rysunkami schizofreników.

ZOFJA MIANOWSKA

F I L M

JAK MŁODZIEŻ REAGOWAŁA NA FILM „DZIEŃ WIELKIEJ PRZYGODY” *

Umożliwiłmiśmy większej ilości młodzieży różnych klas obejrzenie filmu *Dzień wielkiej przygody* i w związku z tem rozpisaaliśmy konkurs na najlepszą recenzję, wyznaczając nagrody w formie kuponów na książki i bilety do kina. Ilość otrzymanych recenzji wynosi 78 i to przeważnie z niższych klas gimnazjum. Jest to ilość stosunkowo nieduża, jednak recenzje są naogół dość obzerne i rzucają pewne światło na sam recenzowany film i na stosunek młodzieży do filmu wogóle. Pozwolę sobie zatem streścić na tem miejscu krótko główne wyniki, uzyskane przez analizę owych recenzji.

Okazało się przedewszystkiem, iż film *Dzień wielkiej przygody* nie cieszył się wśród młodzieży większą popularnością, zwłaszcza wśród młodzieży starszej. Wywiad, przeprowadzony przez psychologów szkolnych i nauczycieli, ustalił, że w niektórych gimnazjach ilość uczniów, którzy dobrowolnie poszli obejrzyć ten film, nie przekraczała 10. Jest to rzecz godna uwagi, albowiem właśnie ów film zdaje się być w swoim założeniu widowiskiem, przeznaczonym dla młodzieży i wyznaczającym sobie pewne oddziaływanie wychowawcze. A że jest to film polski, zorientowanie się co do jego wartości wydawało się rzeczą tem bardziej potrzebną. Otóż młodzież klas wyższych gimnazjalnych odnosi się do tego filmu niewątpliwie nieco „zgóry”. Przypnie, że film nie jest brzydki, że demonstruje piękne krajobrazy, skłania się jednak wyraźnie do opinii, że jest to film może doskonały dla dzieci, ale dla niej już niedobry. Dla młodzieży starszej jest w tym filmie za mało problematyki; „idea przewodnia” zbyt narzuca się tam jasno. Fakt, iż w filmie tym tak dużą rolę odgrywają dzieci i mali harcerze nie stanowi w oczach młodzieży starszej dobrej rekomendacji, przeciwnie, to jakby urażało ich poczucie dorosłości i degradowało film do poziomu moralizującej powiastki przeznaczonej dla małych. Nie jest to opinia całej starszej młodzieży, w każdym jednak razie dużej jej części. Twórcy przyszłego filmu polskiego mogliby stąd wyciągnąć naukę, iż film tego rodzaju mimo najlepszych intencji nie zdoła przemówić do młodzieży starszej, już nawet w latach IV, V, i VI klasy gimnazjalnej. Waszelka, chociażby drobna tylko, naiwności fabuły i naiwny sposób podsuwania pewnych idei jest czemś, na co młodzież starsza jest nadczuła i co prowokuje ją do krytyki.

Inaczej przedstawia się sprawa z uczniami młodszymi, a więc z uczniami I, a częściowo II i III klasy gimnazjalnej (tu należałoby także uczyniować wyższych klas szkoły powszechnej, których jednak badania nasze nie objęły). Dla uczniów i uczennicy w tym wieku film taki jak *Dzień wielkiej przygody* przedstawia dość dużą atrakcję. Co bierze ich w tym filmie? Niewątpliwie przemawia do nich w dużej mierze okoliczność, iż aktorami filmu są w dużym procencie ich rówieśnicy, lub też jednostki od nich nieco starsze. Fakt, że osoby w tym wieku potrafią czegoś niezwykłego dokonać, że spisują się niegorzej od dorosłych, raduje ich i podnosi na duchu. Podkreśla to wyraźnie cały szereg naszych recenzentów. Drugim momentem ujmującym jest fakt, że film dotyczy życia harcerskiego. Harcerze odszukują tam samych siebie, nie-harcerze przylgają się z zainteresowaniem harcerskim obyczajom. Że pod tym względem film powyższy ma dodatnie propagandowe znaczenie, tego dowodem jest fakt, iż niektórzy z młodocianych widzów filmu, jak to stwierdzają

* Z badań Zakładu Psychologii Wychowawczej przy Uniwersytecie J. P. w Warszawie nad wpływem filmu na młodzież.

¹ *Przegląd Filozoficzny*, rocz. 38 (1935). Por. też piękna pracę Diny Szejnburg „Rozumienie i wyjaśnianie w doktrynach Diltheya i Spranger’a” w t. 7 *Kwartalnika Psychologicznego* (1935).

recenzje, postanowili pod jego wpływem zapisać się do harcerstwa. Żywosc akcji i ruchu, którego pełny jest film, jest także momentem, zyskującym filnowi przychylnosc młodszyc. Jest rzeczą charakterystyczną, iż pewne drobne zahamowania akcji lub jej przejściowa monotonna zostają łatwo zauważone przez młodzież i ocenione w sensie ujemnym. Młodzież podziwia np. jazdę na nartach, narzeka jednak, iż jest jej w filmie za dużo.

Jeżeli idzie o wychowawczy wpływ powyższego filmu, to jeden moment (propaganda harcerstwa) został już poprzednio wymieniony. Momenty dotrzymania przyjaźni, współczucia z ciepiącymi, obrony interesów państwa były niewątpliwie przedmiotem uwagi i gorącej aprobaty. W stosunku do młodzieży zatem film ten miał niewątpliwie dodatnie wychowawcze znaczenie.

Jednak ten sam film, który niewątpliwie żywo interesuje młodzieży i wywiera na nich dodatni wpływ, pozostaje prawie zupełnie bez wpływu na młodzież starszą. Młodzież uczęszczająca do pierwszej klasy gimnazjalnej wysuwa w stosunku do filmu szereg specyficznych żądań, które mogą być zrealizowane w sposób należyty właściwie tylko w filmach stworzonych *ad hoc*. Młodzież ta ma pod pewnymi względami niezwykle realistyczne ustosunkowanie się do filmu. Nie powinno tam być (o ile film nie ma charakteru baśni) żadnych odchyśleń od tego, co zdaniem młodego widza jest rzeczywiście możliwe. Człowiek dorosły wybacz filmowi realizację czegoś nieprawdopodobnego, jeżeli sama realizacja jest pod względem estetycznym zadawalająca. Młodzież młodsza nie jest zdolna do takiej pobłażliwości. Wytka ona ostro filmowi każdą usterkę pod tym względem; patrząc, traktuje film jak rzeczywistość i chce, ażeby film rzeczywistość taką wiernie kopował. Chce pod tym względem mieć pełne zaufanie do treści i nawet do grających aktorów. Młodych widzów razi nawet taki drobny szczegół, że Brodniewicz, grający rolę komendanta obozu harcerskiego, zakłada narty, ale całkiem nie jedzie, wobec czego młodzież podejrzewa, że może wogóle na nartach dobrze jeździć nie umie. A cóż jest wart taki komendant! Dopiero wtedy, gdy młodzież tych lat nabierze pełnego zaufania do realizmu filmu, poddaje się ona jego wpływowi. Idea bohaterstwa zarysowująca się wyraźnie, realizowana w sposób żywy pod formą akcji niezbyt skomplikowanej a pełnej ruchu, ma wtedy duże szanse wnikięcia w psychikę młodego widza. Dobrze jest, gdy akcję poważną przeplatają sceny komiczne, jest jednak złudzeniem, jakoby młodzież specjalnie poszukiwała tego rodzaju przyjemności. Młodzież zdaje się nie przejmować się za bardzo filmem, który zbyt często prowokuje ją do śmiechu.

Film skonstruowany według powyższych zasad, dobry dla całkiem młodych, nie może już mieć powodzenia u młodzieży starszej, która szuka innego duchowego pokarmu, bardziej różnicowanego i złożonego. Nie chce ona przyjmować rzeczy całkiem gotowych, szuka problematyki, którą częściowo sama mogłaby rozwiązywać.

Streszczając powyższe wywody, widzimy ostatecznie, iż film mógłby stać się środkiem wychowawczym bardzo skutecznym, że jednak prawdziwe wychowawcze oddziaływanie filmu znacznie się dopiero wtedy, gdy produkcja filmowa pomyśli o filmach, przeznaczonych wyraźnie dla określonego wieku młodzieży, skonstruowanych na zasadach zbieżnych ze stopniem psychicznego rozwoju. Zdaniem tylko byłoby myśleć, że jest to prosta. Nie wystarczy wziąć pierwszą lepszą najwłaściwą fabułę, wziąć pierwszych lepszych aktorów i kazać im niecałkiem serjo produkować banalne sceny. Przyszli twórcy filmu wychowawczego dla młodzieży będą musieli zrozumieć, iż mimo naiwności młodzieży jest bardzo krytyczna, a wzruszyć ją może do głębi i pozyskać dla pewnej idei tylko prawdziwy artysta. Tak zatem, jak wśród literatury dla młodzieży istnieje bardzo wiele rzeczy zrobionych bez talentu, które młodzież odrzuca, a wpływ mają na nią tylko książki, pisane przez autorów, posiadających specjalny talent pisania dla młodych, tak też niewątpliwie taka sama zasada okaże się słuszną w odniesieniu do filmów dla młodzieży, które jednak kiedyś stworzyć będzie trzeba. Czy nie byłaby zbyt śmiała propozycja, ażeby realizatorzy filmów polskich pomyśleli chociażby na próbę o stworzeniu wzorowego filmu dla młodzieży i zechcieli w tej sprawie wejść w kontakt z wychowawcami i psychologami?

STEFAN BAŁEY

SŁAWOMIR CZERWIŃSKI

O NOWY IDEAL WYCHOWAWCZY

II wydanie rozszerzone

Cena egzemplarza oprawnego Zł. 7.—

Do nabycia w Księgarniach.

SKŁAD GŁÓWNY

TOWARZYSTWO KULTURY I OŚWIATY

WARSZAWA, AL. UJAZDOWSKIE Nr. 20

PLASTYKA

„CZERNI I BIEL“ W ZACHĘCIE

Po wystawie „Rytu“ w I. P. S., na której mieliśmy możność zobaczenia dorobku naszych seniorów w dziedzinie grafiki, obecnie w *Zachęcie* wystąpili po raz pierwszy jako zespół młodzi artyści, częściowo nawet debiutanci, zaświadczać o przybywaniu nowych talentów w tym dziale sztuki.

„Czerni i Bieli“ wstępuje w świat pod zaszczytnym przewodnictwem prezesa honorowego Leona Wyczółkowskiego, który uświetnił wystawę jedną ze swych znanych co do piękności litografij p. t. *Kwitnąca grusza*. Fachowy „patronat“ objął znany, niezmiernie aktywny drzeworytnik, Cieślowski syn, którego udział w wystawie to nie tylko drzeworyt p. t. *Odpust w Szwarczowie*, lecz również opracowanie graficzne katalogu, wydane go wykwiłtne z oryginalnymi rycinami. Z pięciu artystów tworzących nową tę grupę, teorie wiernych tradycjom, wyniesionym z Akademii Sztuk Pięknych, z klasy grafiki, prowadzonej przez nieodżałowanego Skoczylasa, wypowiedzają się w technice drzeworytniczej, poszukując na tej wspólnej drodze odrębnych rozwiązań formalnych i tematowych. Kłopotka, posługując się dłotkiem, operuje grubą czernią linij, określającą formę syntetyczną i nadającą jej mocny ekspresyjny wyraz.

Obok szeregu tak właśnie pojętych kompozycji wystawiła też artystka krajobrazy górskie, w których formy są drobiazgowo różnicowane. Fijałkowska, posługując się ryłkami, doszukuje się finezyj drzeworytu w pejzażach i zwierzętach, przepajając treścią liryczną *Wnętrze z kołyską*, wydobytą ekspresję modlitwy w *Zakonnicych*.

Założenia rasowego drzeworytnika wykazują prace Zylberberga. Kolekcja litografij Soltana zdradza przedewszystkiem doskonałe opanowanie: swobodę i pomysłowość w posługiwaniu się techniką, zapomocą której wydobytą pierwszorzędne malarskie efekty.

Impresjonistyczny sposób patrzenia na naturę powoduje brak zamknięcia formalnego kompozycji, pewną przypadkowość ujęcia. Motywy ciemnego wnętrza lasu, rozświetlonego jasnym blaskiem wpadającego doń promienia, żywo przypominają szlachetne wzory mistrza Wyczółkowskiego, i stanowić pewno będą tylko stadum przejściowe dla tego artysty o niewątpliwych zdolnościach. Bardzo ciekawie przedstawiają się drzeworyty Frydrysiaka, który pozorną oszczędnością środków wydobytą całą gamę subtelnych odcieni. Drobne nierzaz rozmiarami, nieważne tematowo przykuwają oko widza subtelnością techniki i wizji artystycznej. Portrety zaś i postacie charakterystyczne tegoż artysty zdradzają umiejętność wydobycia wyrazu.

Wystąpienie publiczne „Czerni i Bieli“ jest bez wątpienia faktem dodatnim, zapowiadającym dalszy rozwój talentów.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

PEDAGOGIKA

S. HESSEN I M. HANS: *Szkolnictwo i pedagogika w Rosji Sowieckiej*. Wydawnictwo „Książnica-Atlas“.

Hessen jest powszechnie znany jako sumienny pedagog, analizujący z precyzją wszelkie zjawiska w dziedzinie wychowania. Jego wnikiwość jest czasem wprost zadziwiająca, kuźe nam myśleć o wyjątkowo rozwiniętym zmysle szperania w duszy narodów i nurtujących je prądach kulturalno-pedagogicznych. Nic zatem dziwnego, że czytelnik spodziewał się znaleźć w ostatnim dziele Hessa *Szkolnictwo i pedagogika w Rosji Sowieckiej* rozjaśnienie zamglonego horyzontu oświatowego przebudowującego się społeczeństwa rosyjskiego. Niestety. Odkładamy książkę z poczuciem niedosytu, niedociecznienia tego, co spoczywa na dnie życia. Czem to wytłumaczyć? Nie mógłże tym razem wielki myśliciel zdobyć się na odwagę i dostateczny obiektywizm, by wypowiedzieć myśl swoją w całej jej rozpiętości i dynamicie zaobserwowanego życia? Czy stanęły mu na przeszkodzie pewne przesady polityczne lub osobiste rozrachunki z reżimem sowieckim?

Książka jest w dziedziejście procentach wypełniona tabelami statystycznymi, diagramami, cyframi i jeszcze czemś: zgorzkniałym sarkazmem, subiektywizmem nienaukowym.

Autor rozgranicza trzy fazy rozwoju szkolnictwa sowieckiego, rozwija przed nami obraz każdej z tych faz, analizując ich genezę i obnażając ich iło ekonomiczno-polityczne.

Pierwsza faza, obejmująca pierwsze lata rewolucyjnej (1917 — 1922), jest nacechowana metodami „wojującego komunizmu i anarchii“. Wszędzie przebijają nieprzejęta, wprost despotyczne chęć naganiania życia do szumnych, niesystematyzowanych hasel i metod rewolucji: stąd też ów chaos panujący w szkolnictwie rosyjskiem, owo uproszczenie programu oraz minimalizacja wymagań i środków pedagogicznych.

Drugą fazę zapoczątkowuje powstanie „Nepu“ (1923). Cechuje ją dążność do zapobieżenia dalszemu szerzeniu się analfabetyzmu, wynikłego z chaosu poczynań i metod nieskoordynowanych.

Pedagogika w całej jasni swego rozkwitu, z

wielkim bagażem nowoczesności, systemów i środków, ustępuje abecadłu, którego opanowanie jest ideałem szkoły rosyjskiej w tym okresie.

Wreszcie „piąteletka“. Szkoła podąża krok w krok za zdobyciami techniki, przybierając charakter instytucji zawodowego szkolenia młodzieży, staje się szkołą życia i pracy, nie wybiegając poza obręb nakreślonych jej przez państwo obowiązków.

Z wywodami p. Hessa można się zgodzić lub nie zgodzić, zależnie od stosunku czytelnika do spraw kulturalno-społecznych Rosji Sowieckiej. Jedno zostanie na zawsze niezrozumiałe, a p o t e o z a szkolnej polityki Rosji carskiej, nie wyłączając jej stosunku do mniejszości (!). Za tłumaczem polskim p. Zielińskim powtarzamy: „Jest to sprawa odrębna, wymagająca specjalnego omówienia“ — w każdym razie nie po linii poglądów p. Hessa.

A. FERRIERE: *Samorząd uczniowski*. Przetłumaczył z oryginału dr. Sońnicki. Warszawa—Lwów, „Książnica-Atlas“.

Sprawa samorządu uczniowskiego w Polsce nabiera tem większej wagi, że rozwój naszego szkolnictwa idzie po linii reform, dokonywanych w większości krajów cywilizowanych Europy: w kierunku uspołecznienia, skryształowania oblicza gromady. To też winniśmy wiele wdzięczności polskiemu tłumaczowi dzieła Ferrière'a.

Idea samorządu nie jest już nowa. Nie miała coprawda doniedawna swoich wyrazieli-teoretyków, którzyby jej nadali formę naukową; miała jednakowoż swoich zwolenników i gorliwych wykonawców już w ubiegłym stuleciu. Była realizowana w Anglii i w Ameryce Północnej, w Niemczech i w Rosji przedwojennej—na samym początku w internatach „specjalnych“, stamtąd przenikła powoli do internatów „normalnych“, następnie—do eksternatów.

Każda nowa idea znajduje więcej przeciwników niż zwolenników. Jaskrawym dowodem tego jest zygakowata linja rozwojowa samorządu uczniowskiego.

Wychowawcy angielscy, pierwsi organizatorzy samorządów uczniowskich, mówią z wielką wstrzeźliwością o odniesionych sukcesach; skłonni są raczej do upatrywania w swych poczynaniach symptomatów niepowodzenia. Jeden z wychowawców konkluduje, że wynik pracy samorządowej szkolnej, której był organizatorem i opiekunem-obszawatorem, jest wyraźnie ujemny.

Wiedziony intuicją „ponadosobową“, umie Ferrière wnieść się ponad drobne niepowodzenia i przeciwności, napotymane na drodze pracy wychowawczej—umie dojrzeć światła w cieniu.

Nie, to nie dokument bankrutwa idei samorządu uczniowskiego, lecz świadectwo życia i pracy, widzianych oczami rzeczywistosci, z lotu myśli głębokiego teoretyka.

Ferrière nie jest maksymalistą, takim zresztą nie może być żaden wychowawca, zaśługujący na swe miano. Każda piędź autorytetu musi być zdobywana powoli i systematycznie.

Stawianie zbyt wysokich wymagań w zaraniu realizacji jakiejś idei prowadzi nie ku wyżynom tryumfu, lecz w karkołomną przepęcz niepowodzenia.

Wnikliwe i trzeźwe oko pedagoga nie daje się zaćmić mgłą niewczesnego zapalu. Entuzjazm zastępują zdrowy zmysł rzeczywistości i prostolinijna logika.

Praca Ferrière'a jest zbiorem cennych doświadczeń wychowawczych, z których autor—raczej umie wyciągnąć zbawienne wprost wnioski dla praktyki szkolnej.

Szkoła polska, będąca w trakcie przebudowy, oparta swą ideologią o czynniki społeczno-twórcze, a tem samem o samorząd jako konkretyzującą wspomnianych czynników—powinna uważnie śledzić rozwój idei samorządu uczniowskiego na Zachodzie, której wiernym odliciem jest dzieło Ferrière'a.

G. GENTILE: *Reforma wychowania*. Przetłumaczyła z oryginału M. Stecka. Warszawa—Lwów, „Książnica-Atlas“.

Analiza życia społeczno-kulturalnego dzisiejszych Włoch nie należy do zadań zbyt łatwych; potrzeba wnikliwego oka kulturologa, daru dogłębnej obserwacji, by móc w niem rozgraniczyć poszczególne czynniki i prądy.

Sądząc z pozorów, z oficjalnej pedagogiki włoskiej, reprezentującej się na zewnątrz jako uwniośnienie szarego, brudnego życia w wąskich uliczkach Neapolu, cuchnących miazmatami i odorem nędzy bezdennej, odbieramy wrażenie czegoś wspaniałego, iście nadziemskiego, spoczywającego w najwyższej sferze ducha. Jeżeli natomiast rzucimy okiem na praktykę szkolną współczesnej Italji, przedstawia nam się obraz o odmiennym zgoła kolorystyce: zamiast etosu—kult ciała i zdrowia, zamiast ducha—fizys.

Mimowoli nasuwa się koncepcja o d w u t o r o w o ś c i kultury pedagogicznej współczesnych Włoch. W tem oto świetle nieco błędna wyraziście zasady etnologji: jakże kontrastuje niezbyt określona mentalność dzisiejszego Włocha z prostolinijnością i niezmiennością postanowień starożytnego Rzymianina!

Gentile, były minister oświaty we Włoszech, w swem dziele *Reforma wychowania* usiłuje skryształować oblicze szkoły współczesnej, opierając ją na czynnikach irracjonalnych, granicznych z metafizyką i mistycyzmem. Rozwija on umiędnie koncepcję platońską o bezwartościowości życia ziemskiego, jako zmiennego i przemijającego, oraz nieśmiertelność idei, która wbrew czasowemu metamorfozom jest wieczna i niezmienna w swej najgłębszej istocie.

W myśl powyższego założenia szkoła włoska przyznaje prym pierwiastkom idealistycznym, przekładając je nad przyziemny realizm i przeciwny utylityzm życiowy. Zdawałoby się, że niema nic bardziej ziemskiego, hedonistycznego aniżeli wychowanie fizyczne, będące przecież wyrobieniem umiejętności korzystania w pełni z dóbr życia doczesnego;—Gentile uduchowia i uwniośla tę nawskrosz fizyczną dziedzinę życia szkolnego, podnosząc ją do poziomu walorów czysto etycznych.

Nie oburzajmy się jednak na p. Gentile; jego wywody naukowe, pachnące najczystszy idealizmem z domieszką mistycyzmu—nawet niezbyt nowoczesnego—są produktem szkoły aleksandryjskiej, której wiernym uczniem—w tyle lat po jej wygaśnięciu—i genialnym propagatorem jest autor dzieła o reformie wychowania.

Infiltracja idei neoplatońskich do szkoły nie jest zresztą wyłączną zasługą p. Gentile; przed nim wielu tę samą próbę podejmowało.

H. RYLSKI i A. WALCZAK

F. KIEFFERT, T. M.: *Autorytet w wychowaniu domowym i szkolnem*. Przekład K. Bobrowskiej. Księgarnia św. Wojciecha.

Psychologowie oraz wielu nowoczesnych pedagogów używają w pracy swej nad poznaniem dziecka metod możliwie ściśle naukowych, opartych nieomal na miarach i wagach, testach i zawiłej psychoanalizie, sięgające nieraz do zamierzonych czasów niemowlęctwa. Nieraz w swej żarliwości i zapale naukowym sądzą, że tajemnica duszy dziecięcej zostanie tym sposobem całkowicie wyjaśniona, wyczerpana, określona bez reszty, a inteligencja zaliczona do tego lub owego typu. Nigdy jednak nie należy zapominać o trzech niezmiernie doniosłych czynnikach, które każdy wychowawca winien mieć na względzie przy podejściu do tak delikatnego i wrażliwego instrumentu, jakim jest dusza dziecka. Są nimi: wrodzona intuicja wychowawcy, prawdziwe powołanie oraz miłosc, kierująca każdym jego krokiem w stosunku do dziecka. Wszystkie te trzy elementy zdają się być głównymi rysami, tworzącymi oblicze pedagogiczne księdza Kiefferta, Alzatey, laureata Akademii Francuskiej, i kawalera Krzyża Legji Honorowej. „Dziecko nie jest-że ludzkością w kwiecie? a słońce, przyczyna rozkwitu, nie jest-że miłością? Kochać dziecko i przywiązać je do siebie, oto co będzie zawsze wielką tajemnicą wychowania!“ Poza temi cechami, najbardziej cennymi, książka Kiefferta omawia problemy znane każdemu wychowawcy: panowanie nad sobą, szacunek dla dziecka, kara, pochwała, posłuszeństwo, karność, poczucie odpowiedzialności, inicjatywa i t. d. Przepyszczalnie wszystkie te kwestje, omawiane przez autora, wnoszą w pedagogikę tak bardzo konserwatywną jak francuska dużo świeżego powietrza, nowości. Dla nas jednak są to już rzeczy znane, wprowadzone w każdej niemal szkole. Jedynie poziom moralny, na jakim kwestje te są traktowane, jest rzadki i pobudza do przeczytania tej książki z przyjemnością i korzyścią. Tworzą go: szczerosc, szlachetność, prawosc, pozbawiona wszelkiej frazeologii, lecz pełna wiary w ideał i przesiąknięta zapalem czynu. „Trzeba podnieść pracę wychowawczą do należytego poziomu, a jego samego doprowadzić do tego, by się stał w pełnem znaczeniu toli słowa pobudzić i kierownikiem woli innych, by upodobawszy sobie wyżyny życia moralnego i religijnego, dążył do wprowadzenia na nie dzieci i do utrzymania ich tam przez całe życie“.

Książka *Pamiętnik Akademickiego Koła Szamotulan* (1924—1934) przynosi sprawozdanie z bardzo ładnego dorobku społeczno-kulturalnego młodzieży, która opuściła niegdyś progi gimnazjum im. Piotra Skargi w Szamotulach. Młodzież ta nawet dziesięć lat po maturze nie tylko że nie zatraciła kontaktu ze sobą, lecz prowadząc z entuzjastycznym zamiłowaniem pracę regionalną, zebrala bogaty materiał językowy, zwyczajowy i pieśniowy, który został ujęty w scenariusz przez p. Wład. Frączka (melodie zebrali p. Stan. Zganiński). *Wesele Szamotulskie*, regionalne widowisko sceniczne w IV aktach, wzbagaciło bez wątpienia skarbice naszych teatrów ludowych. Odegrano je w Szamotulach i Poznaniu, gdzie miało prawdziwe powodzenie i dobre recenzje. *Wesele Szamotulskie*, stanowiące główny trzon *Księgi Pamiętnikowej*, jest bezsprzecznie dowodem, jak pięknie umie pracować młodzież nasza na terenie regionalizmu.

E. STRĄŻYSKI

PRZEGLĄD PRASY

O WŁAŚCIWY SENS PRACY. W nr. 1 *Spółdzielczości Pracy* znajduje się artykuł Bogdana Suchodolskiego p. t. „Stosunek do pracy Brzozowskiego i Abramowskiego“. Autor charakteryzuje w następujący sposób stosunek do pracy obu pisarzy: „Brzozowski... pojmuje pracę jako formę walki z przyrodą. Przyroda grozi nam zagładą na każdym kroku i tylko „praca fizyczna, mięśniowa praca jest tym sposobem zachowania się człowieka, który stwarza przyrodniczo istniejącą podstawę ludzkości“. Ideałem naszych czasów jest „uczynić z pracy ludzkiej, jej wymagań, potrzeb, interesów — podstawę całej kultury, urządzeń prawnych, moralności, sztuki... Musimy powiązać świadomość naszą z pracą tak, by myśl i marzenie nie odrywały nas od codziennych obowiązków. Wówczas pokochamy nasz trud i znajdziemy w nim własne szczęście. Najbliższe tego idealu znajduje się warstwa robotnicza, ona bowiem najlepiej rozumie, że wszystko to, co nie potęguje ekonomicznej i biologicznej siły człowieka, jest balastem obojętnym dla życia, a więc szkodliwym“. Inny jest stosunek do pracy Abramowskiego. „Punktem wyjścia jego rozważań był człowiek, a troską największą pełnia ludzkiego szczęścia i swobody. Praca jest wyżyskiem, ciężarem, trudem... „Praca długa nietylko wyniszcza zdrowie, ale jeszcze ogłupia i upadla człowieka. Całe życie — człowieka, pracującego nadmiernie — sprowadza się... do tego. żeby spać, jeść i pracować, a takie życie jest niegodne człowieka“. Suchodolski występuje

przeciw zapatrywaniom obu autorów. Uważa on, że rozpoczyna się nowa epoka nawrotu do człowieka. Praca przestaje być celem sama w sobie. Chodzi o to, żeby człowiek nie marnował się w jarzynie pracy, ale również nie ulegał płytkiemu urokowi swobody. Suchodolski jest bliski koncepcji pracy Norwida. Twierdzi on, że „trzeba dążyć do przekształcenia wszelkiej pracy ludzkiej w pracę twórczą. W wyścigu pracy zwycięża ten, kto spełnia u m i ł o w a n ą p r a c ę.” Środkiem realizacji postulatów twórczej pracy ma być według niego „spółdzielczość”. Oczywiście artykuł Suchodolskiego jest dość ogólnikowy, pozatem — wydaje się, że S. ścieśnia trochę poglądy obu myślicieli omawianych, niemniej jest on wyrazem ciekawej zmiany w zapatrywaniu na pracę, którą to zmianę dostrzegamy w kulturze współczesnej. Jest ciekawym i przykrym momentem, że zawsze interesujące prace tego „kulturologa” wpadają w próżnię. Nikt prawie nie nawiązuje do zagadnień poruszonych przez niego. Jest to szkoda dla normalnego rozwoju świadomości kulturalnej, która w Polsce zaczyna zawsze od początku.

DWA PRZEGLĄDY PISM. W ostatnim numerze *Buntu Młodych* i w „Kolumnie Literackiej” *Kurjera Wileńskiego* omówiono następujące pisma. W *Buncie Młodych* omówił p. Frankowski większość katolickich pism kulturalnych, w „Kolumnie Literackiej” *Droga, Marcholta, Pion, Tygodnik Ilustrowany* p. Maślinski. Nie trzeba dodawać, jak korzystna dla rozwoju publicystyki jest takie omawianie, które pozwala skontrolować redakcją reakcję czytelników. Mniejsza o to, że czasem sąd wypadnie zbyt ostro, czasem zbyt łagodnie. Ważny jest fakt nawiązania bliższego kontaktu z anonimowym zwykłym czytelnikiem. O korzyści czytelnika nie trzeba mówić; w kraju tak mało czytającym jak Polska przypomnienie o istnieniu pism jest bardzo ważne. Nasuwa się zresztą myśl, że chyba czasopisma zasługują co najmniej w równej mierze na recenzje jak książki. Pomyśl więc recenzowania pism jest bardzo dodatni. Tem więcej, że prostuje on wiele niezastępowalnych opinii, albo uprzedzeń, które wobec nałogu czytelnika do „uproszczeń” są niekorzystne dla normalnego rozwoju czytelnictwa pism. Należałoby także poświęcić bliższą uwagę t. zw. dodatkom literackim i kulturalnym pism, a nawet codziennym działom dzienników. Kto wie, czy nie okazałyby się, że prasa prowincjonalna ma o wiele lepsze działy literackie, niż Warszawa, nie wiadomo dlaczego rozszczała sobie pretensje do wyłącznego reprezentowania najwyższego poziomu intelektualnego w całej Polsce.

ZAGROŻONY STAN POSIADANIA. *Reduta* lwowska w nr. 6 alarmuje z powodu „stałego cofania się i kurczenia” polskiego stanu posiadania w „Małopolsce”. „Teza, że utrzymanie i wzmacnianie polskiego stanu posiadania w Małopolsce Wschodniej jest p r z e e z k o d ą w normalizacji stosunków polsko-ukraińskich... nie da się utrzymać. Prawda brzmi inaczej: osłabienie żywiołu polskiego na tej ziemi wyklucza normalizację. W imię aktualnej polityki, która może dać wyniki dodatnie, ale m o z e i c h n i e d a ć (podkreślenie nasze), utracą się rzecz... najważniejszą i jedynie rzeczywistą. Społeczeństwo ukraińskie, przyjmując zasady t. zw. pracy organicznej, dając jawnie i programowo do ukrainizacji miast, handlu, rękodziela, przemysłu, do rozbudowy placówek kulturalnych i gospodarczych, obrabło nieomylną drogę, prowadzącą ewolucyjnie do dalszych nieuchwytnych przemian, będących wynikiem zmiany w układzie sił. Sprawa jest przeraźliwie jasna: Kto lekceważył stan ludności polskiej w Małopolsce Wschodniej i zmiany, jakim ona podlega, pracuje, nietylko przeciw idei organicznego kompromisu, ale także na rzecz zatory tej ziemi”. Zwolennikom całkowitego kompromisu należałoby przypomnieć, że jest on tylko wtedy możliwy, gdy w naszych rękach będzie siła, t. zn. gdy nasz stan posiadania będzie jak największy.

JEDNODNIÓWKI LITERACKO-SPOŁECZNE. Ostatnio wyszły dwie jednodniówki: *Prąd* i *Nowe Łamy*. Obie pisma są poświęcone walce z faszyzmem. Niestety, ich poziom intelektualny nie jest zbyt wysoki. Rozumiemy, że celem tych jednodniówek jest propaganda. Nie rozumiemy jednak dobrze, dla kogo są one przeznaczone. Dla inteligencji chyba nie. Ma ona, cokolwiek złego słusznego się o niej powiedziało, jednak trochę wyższe wymagania intelektualne, żeby ją przekonywały artykuły o poziomie inte-

ktualnym „odezw do wszystkich obywateli”. Wymaga ona jednak głębszego przemyślenia sprawy w artykule i deklamacje jej nie interesują. Mogła ona kiedyś z zainteresowaniem czytać lewicowy *Miesięcznik Literacki*, ale właśnie dlatego będzie unikała krzykliwych i powierzchownych agitek. Wydaje się również, że prosty robotnik nie zainteresuje się temi jednodniówkami. Propaganda więc raczej chybiona.

„MYŚL POLSKA”. Wyszedł nr. 1 *Myśli Polskiej*. Trudno oceniać pismo na podstawie jednego numeru. Niemniej nie ulega wątpliwości, że redakcja sobie stanowczo ułatwia walkę z przeciwnikami. Jak to w Warszawie jest zwyczajem, bierze ona przeciwnika „in pessima forma”. Możemy redakcję zapewnić, że niema łatwiejszego sposobu zwyciężania przeciwnika niż rzucanie na niego obelgi i insynuacji. Takie zwycięstwo jest jednak, równocześnie, największą klęską. Obelgi bowiem mają wielkie podobieństwo do bumeranga, wracają najczęściej do tego, który nimi szafuje. Obelgami i krzykiem można zwyciężyć w opinii t. zw. „bagna” umysłowego, przegrywa się jednak stanowczo na trochę wyższym poziomie. Rozumiemy walkę z przeciwnikami — nie rozumiemy jednak pewnych metod, które dyskwalifikują walczącego. Choćby z tego powodu, jeśli już zamierzamy o powodach moralnych, że są nieskuteczne...

PRZECIW „PODPISOMANJI”. Przeciw ostatnio szerzącej się w całej Europie manji podpisywania najróżniejszych listów otwartych, petycji i t. p. wystąpił znakomity pisarz francuski J. Duhamel. Duhamel uważa słusznie, że podpisywanie tych „manifestów” jest pewnego rodzaju nadużywaniem przez pisarzy kredytu moralnego, jaki mają u czytelników. Każdy wybitny pisarz jest indywidualnością i w tem tkwi jego godność, wartość i znaczenie. Podpisując „gremjalny” manifest, musi on przyjmować odpowiedzialność za całość enuncjacji publicznej. Tymczasem bardzo często, zgadzając się na ogólną treść manifestu, ma on zastrzeżenie do poszczególnych zdań i sformułowań. Niezgodnie z przyjętym zwyczajem byłoby zaznaczanie, że odnośnie do tego lub owego punktu ma zastrzeżenia. Wobec tego radzi Duhamel unikać pochopnego podpisywania się. Jeśli pisarz chce zabrać głos w sprawie publicznej, może to zawsze uczynić indywidualnie. Duhamel zaleca więc postępowanie indywidualne, które pozwoli pisarzowi wypowiedzieć się bez skrepowania i zgodnie z jego wewnętrznym przekonaniem (*Wiad. Lit.*, nr. 7).

MIESIĘCZNIK ITALO-POLSKI. W styczniu ukazał się nr. 1 roczn. II *Miesięcznika Italo-Polskiego*, propagandowego pisma włosko-polskiego. Redakcja uczyniła słusznie, rezygnując z pozorów apolityczności i „apropagandowości”. Wobec namietnej i jednostronnej gloryfikacji Anglii jako wyrazicielki „sumienia ludzkości” w naszej prasie, pismo jest celowe i pożyteczne w myśl zasady *audiatur et altera pars*. Wykazuje ono, jak dalece prymitywne są uproszczenia, malujące Anglię jako „aniola pokoju”. Zagadnienie włosko-abisyńskie staje się w ten sposób lekcją myślenia historycznego; że lekcja ta budująca pod względem moralnym nie jest, nie potrzeba dodawać. Niemniej widzieć historię w całym jej realizmie i tragicznie jest obowiązkiem każdego myślącego człowieka. Zadanie to ułatwia *Miesięcznik Italo-Polski*. Nie znaczy to oczywiście, żeby argumenty autorów, piszących w tem piśmie zawsze przekonywały — znaczy tylko to, że uczą nas nie ulegać frazesom ani jednej, ani drugiej strony. Z artykułów kulturalnych zainteresują czytelnika polskiego dwa: o Carduccim i współczesnym rzeźbiarzu Martinim. Carducciego świetnie charakteryzują słowa: „Trzeba dziś wybić z głowy Europie, jakoby Włochy były targowiskiem plotek, jakoby Włosi byli narodem, który nie wierzy w nic, ani w swe siły, ani w swą przyszłość. Wręcz przeciwnie. We Włoszech wielkie charaktery... to ludzie wiary. Dla nas wiara religijna zwie się Dante Alighieri; wiara w przygodę nosi imię Krzysztofa Kolumba; wiara w sztukę — to Michał Anioł Buonarrotti; wiara w naukę ma za nazwisko Galileo Galilei; wiara polityczna przybrała miano Józefa Mazziniego. Kto ośmielił się powiedzieć, że jest to naród sceptyków, naród, który nie wierzy w siebie, nie wierzy w przyszłość?” Zeszyt pod względem graficznym przedstawia się w przeciwieństwie do nr. 1 z r. ub. bardzo dobrze.

W. BAK

WYDAWNICTWA PERJODYCZNE

Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku. Praca zbiorowa pod redakcją Romana Lutmana. (*Pamiętnik Instytutu Śląskiego*. Tom I.). Katowice, 1936. Stron XXVI — 525. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Skład Główny: Kasa im. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki, Warszawa.

Celem wydawnictwa *Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku* jest przedstawienie dotychczasowych badań nauki polskiej nad Śląskiem, wykazanie jej dotychczasowego dorobku, stwierdzenie braków i przez wysunięcie najpilniejszych postulatów stworzenie programu systematycznych prac naukowych na najbliższą przyszłość. W wydawnictwie tem pomieszczono prace 17 autorów, którzy opracowali poszczególne dziedziny nauki. Omówiono tu stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w następujących dziedzinach: geologii — M. Książkiewicz i E. Passendorfer, botaniki — A. Kozłowska i T. Bocheński, zoologii — J. Czudek, geografii — A. Wrzosek, kartografii — B. Olszewicz, antropologii — K. Stolyhwo i L. Sedlaczek-Komorowski, etnografii — M. Gładysz, językoznawstwa — K. Nitsch, piśmiennictwa śląskiego — W. Ogrodziński, prehistorji — J. Kostrzewski, historii — K. Piotrowicz, historii sztuki — M. Gębarowicz, stosunków gospodarczych i społecznych — W. Olszewicz, prawa i demografii — E. Kostka.

Każda rozprawa zawiera obszernie omówienie dotychczasowej literatury przedmiotu, następnie zaś zajmuje się analizą stanu obecnych badań i wysuwa najpilniejsze postulaty naukowe, wykazując, jakie zagadnienia i w jakiej kolejności powinny być opracowywane. Autorzy w swych opracowaniach nie ograniczyli się tylko do terenu obecnego województwa śląskiego, ale rozważaniami swymi objęli cały historyczny Śląsk, kładąc oczywiście nacisk na tereny etnograficznie polskie.

Obszerne przeglądy bibliograficzne czynią z tego wydawnictwa równocześnie przewodnik bibliograficzny po literaturze śląskiej. Omawiana praca jest pierwszym tego rodzaju wydawnictwem w literaturze polskiej, poświęconem szczegółowemu omówieniu stanu i potrzeb nauki jednego regionu. Niewątpliwie też stanie się podstawą przy dalszych badaniach naukowych nad zagadnieniami naukowymi, dotyczącymi Śląska.

Książki nadesłane do Redakcji

DRAMATY

W. SZEKSPIR: *Hamlet* Królewic Duński. Tragedja w 5 aktach. Przełożył Zdzisław Skłodowski w r. 1908. Sprawdził z oryginałem, w części przerobił i wydał Józef Skłodowski w roku 1935. Warszawa 1935. Nakładem D-ra Józefa Skłodowskiego.

MARJA KOSSAK-JASNORZEWSKA: *Zalotnicy Niebiescy*. Sztuka w 3 aktach. (Kraków) 1936. Koło wydawnicze „Teraz”.

ZOFIA NAŁKOWSKA: *Renata Stuczańska*. Sztuka w trzech aktach. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff.

JANUSZ STEPOWSKI: *Na morskich szczytach Rzpłitej*. Kronika historyczna 1635 roku w 6 odsłonach. Układ graficzny St. Brzeczokowskiego. Warszawa 1935. Liga Morska i Kolonialna.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI: *Porwana narzeczona*. Wodewil w 3 aktach ze śpiewami i tańcami. Lwów (1935). Księgarnia T. S. L.

HISTORIA LITERATURY

JAN SMOLIK: *Wiersze różne*. Z rękopisu wydał Roman Pollak. (Biblioteka Zapomnianych Poetów i Prozaików Polskich XVI—XVIII w. Serja II., zeszyt 2.) Warszawa 1935. Kasa im. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki.

GUSTAW PRZYCHOCKI: *Tempo i nastrój rzymskich widowisk teatralnych*. Warszawa 1935. Koło Klasyków Studentów Uniwersytetu Warszawskiego.

HENRYK ŻYCZYŃSKI: *Kandydatura Filomatów na tron polsko-litewski*. (Fragment z monografii p. t. A. Mickiewicz.) Lublin 1936.

HISTORIA

HIPOLIT GRYNWASER: *Kwestja agrarna i ruch włościan w Królestwie Polskim w pierwszej połowie XIX wieku*. Studium archiwalne. Warszawa 1935. Kasa im. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI: *Genealogia teraźniejszości*. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

PODRÓŻE

ZDZ. KLESZCZYŃSKI: *Za barjerą Pirenejów*. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

ED. LIBAŃSKI: *Na szczyt świata. Wyprawy na Everest*. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

ARKADY FIEDLER: *Zwierzęta z lasu dziewczego*. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

A. JANTA-POŁCZYŃSKI: *Ziemia jest okrągła*. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

ANDRZEJ BOHOMOLEC: *Wyprawa jachtu „Dał”*. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

ZB. ROKIČIŃSKI: *Darem Pomorza naokoło świata*. „Biblioteka Polska” w Warszawie 1935.

MICHAŁ TARNOŃSKI: *Ceylon wyspa rajska*. Notatki z podróży. Z 28 rycinami i 2 mapkami. (Dookoła ziemi, tom 15.) Lwów — Warszawa (1935). Książnica-Atlas.

PUBLICYSTYKA

WANDA MELCER: *Czarny ląd Warszawa*. 1936. Dom Książki Polskiej, Sp. Akc.

WOJCIECH GOTTLIEB: *Ku gospodarstwu przyszłości*. Lwów 1935.

ZBIGNIEW KRASUSKI: *Obserwacje szarego człowieka*. Warszawa 1935.

JAKOB MARITAIN: *O nową cywilizację chrześcijańską*. (Nauka — Filozofja — Religja, zeszyt 5). Lublin 1935. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. Ogólnego zbioru tom 23.

KRAJOZNAWSTWO

Dolina dolnej Wisły. Przewodnik krajoznawczy. Opracował DR. RAJMUND GALON, docent Uniwersytetu Poznańskiego. (Biblioteka Bałtycka.) Toruń 1935. Instytut Bałtycki.

PODRĘCZNIKI

H. STÄTTLERÓWNA i K. WYSZOMIRSKI: *Zadania rachunkowe dla dorosłych na wsi*. Część II. Ułamki i procenty. Warszawa 1936. Wydawnictwo Instytutu Oświaty Dorosłych — Nr. 107.

Program szkół wieczorowych dla młodocianych. Suplement do Programu szkół wieczorowych dla dorosłych. Praca zbiorowa pod redakcją M. BOROWIECKIEJ. Warszawa 1936. Wydawnictwo Instytutu Oświaty Dorosłych — Nr. 108.

VARIA

O. MARJAN PIROŻYŃSKI C. SS. R.: *Zakony żeńskie w Polsce*. (Polska pod względem religijnym, zeszyt 3.) Lublin 1935. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. Ogólnego zbioru tom 23.

ZBIGNIEW ZANIEWICKI: *Polska Komisja Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej na progu 1936 r.* To samo po francusku. Wydawnictwo Polskiej Komisji Międzynarodowej Współpracy Intelektualnej.

Major-pilot ADAM WOJTYGA: *Turnieje lotnicze*. Warszawa — Lwów 1936. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych.

JÓZEF SOSNOWSKI: *Służba harcerska*. Warszawa 1936. Harcerskie Biuro Wydawnicze.

SPROSTOWANIE. W nr. 123 *Pionu*, str. 6, szpalta 2, wiersz 12 od dołu zamiast „ho gadatliwa” należy czytać: „blyskotliwa”.

PAN POSEŁ I... NIEOSTEMPLOWANA ZAPALNICZKA

Na jednej z sesyj budżetowych pewien poseł wystąpił przeciwko karze, jaką nałożył nań urząd skarbowy, gdy pan poseł zjawił się w urzędzie, aby ostemplować świeżo przywiezioną przez siebie z Wiednia piętnastoszylingową zapalniczkę.

Widocznie nieznanem było panu posłowi, że dnia 31-go I. 1931-go roku (Dziennik Ustaw Nr. 9, pozycja 45) weszła w życie ustawa, zakazująca wwozu nielegalnych zapalniczek, i od tej daty samo posiadanie nieostemplowanej zapalniczki jest przestępstwem karno-skarbowym.

Gdyby pan poseł znał tę ustawę, powinien był raczej pochwalić sprawność urzędu skarbowego, który nałożył nań karę. Stało się inaczej i nikt nie będzie mógł pochwalić znajomości praw pana posła.

W KOMITECIE PROPAGANDY CZYNU POLSKIEGO

(ul. Ś-to Krzyżaka 9, I-sze p., tel. 292-13) są do nabycia następujące wydawnictwa:

1. *Kejga* Zbiorowa ku czci I. Marszałka Polsk Józefa Piłsudskiego. Warszawa 1935 r. zł. 5.—
 2. *Jan Belcikowski: Dzień triumfu Ducha 11 listopada 1918 r.* „ —.30
 3. *Ottón Laskowski: Młodość wojskowa Jana Sobieskiego*. Warszawa 1933 r. —.50
 4. *Artur Śliwiński: Odsiecz Wiedeńska*. Warszawa 1933 r. —.80
 5. *Henryk Mościcki: Stefan Batory*. Warszawa 1933 r. —.50
 6. *Jerzy Odrowąż-Pieniążek: Rycerstwo Polskie w Wyprawie Wiedeńskiej*. Warszawa 1933 r. 1.20
 7. *Stefan Czarniecki, żołnierz-obywatel*. Z 12 ilustracjami i mapką. Warszawa 1935 r. 1.50
- Dochód wyłączny na cele propagandy.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisy nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. zł. 1.80; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI